NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 25 kwietnia 1908. Nr. 17.

Ostatnie chwile Namiestnika.



Z życia zmarłego Namiestnika. Kandydaci namiestnikowscy. Koryfeusze hajdamaczyzny. Aresztowanie mordercy.



Z życia zmarłego Namiestnika: Ś. p. Andrzej hr. Potocki w stroju marszałka kraju.

Ostatnie chwile Namiestnika.

(Do illustracyi tytułowej.)

Szczegóły, jakie doszły do wiadomości ogółu o ostatnich chwilach życia śp. namiestnika hr. Potockiego, stanowią dowód niesłychanej mocy charakteru tego męża, szlachetnej energii i niezłamanej niczem siły woli. Mimo zupełnej świadomości zbliżającego się końca, umysł dzielnego obywatela nie stracił ani na chwilę swej zwyczajnej bystrości i jasności, ani na chwilę nie uległ obawom przed śmiercią. Bo zmarły Namiestnik był wiernym i gorliwym katolikiem i w swej wierze czerpał nietylko sił do życia, nietylko do swej całej działalności obywatelskiej, ale znalazł w niej ukrzepienie i moc na drogę śmierci.

— Jestem katolik. Śmierci się nie boję.

Te słowa, wyrzeczone na chwil kilka przed oddaniem ducha, charakteryzują najlepiej śp. Andrzeja hr. Potockiego.

Nie o sobie jednak myślał dogorywający dygnitarz. Jako wzorowy mąż i ojciec, uzupełniał wobec otaczających go lekarzy swój pisemny testament. Złożony na żelaznem, polowem łóżku w sali audyencyonalnej, utrzymywany przy siłach i przytomności wstrzyknięciami eteru i kamfory, spoglądał na zgromadzoną a w niemym



Z życia zmarłego Namiestnika: Ś. p. Andrzej hr. Potocki w uniformie członka krakowskiej straży ochotniczej.



Z pogrzebu we Lwowie: Posłowie, dźwigający na ramionach trumnę ze zwłokami ś. p. namiestnika Potockiego.

żalu pogrążoną rodzinę, błogosławiąc ją drżącą, zakrwawioną ręką.

Wiadomość straszna o tragedyi w pałacu namiestnikowskim rozeszła się po Lwowie z błyskawiczną szybkością, to też wnet przybyli tam dygnitarze kościelni i świeccy, aby dowiedzieć się o przebiegu wypadku. Ks. arcybiskup Bilczewski, ks. biskup Bandurski, marszałek kraju Stanisław hr. Badeni, prezydent miasta Ciuchciński, komenderujący hr. Auersperg i wielu innych, wszyscy przygnębieni przerażającą wiadomością, z niepokojem oczekiwali wyroku z ust wezwanych lekarzy.



Z życia zmarłego Namiestnika: Andrzej hr. Potocki w uniformie podporucznika ułanów.

Pomoc ich okazała się bezskuteczną, z powodu bowiem naruszenia centr mózgowych, śmierć była nieuniknioną. Przyszła też po kilku kwadransach i wydarła narodowi i społeczeństwu jednego z najdzielniejszych synów, rodzinie najszlachetniejszego męża i ojca.

Z życia zmarłego Namiestnika.

Ś. p. Andrzej Potocki, choć ostatnie swe lata spędził we Lwowie, piastując tam najwyższe dostojeństwa i godności, czuł się zawsze dzieckiem Krakowa i bardzo chętnie przebywał w prastarej stolicy Polski. Z miastem tem łączyły go bowiem tysięczne nici wspomnień z czasów młodości. Tu uczęszczał do gimnazyum, tu kończył chlubnie uniwersyteckie studya, tu następnie, po powrocie ze służby dyplomatycznej, stawiał pierwsze kroki na arenie życia publicznego.

Pierwszem polem jego służby obywatelskiej była krakowska ochotnicza straż pożarna. Młody, pełen sił i zapału arystokrata wstąpił w karne szeregi strażackie a w chwilach dla tej straży uroczystych wdziewał z dumą przepisowy uniform.

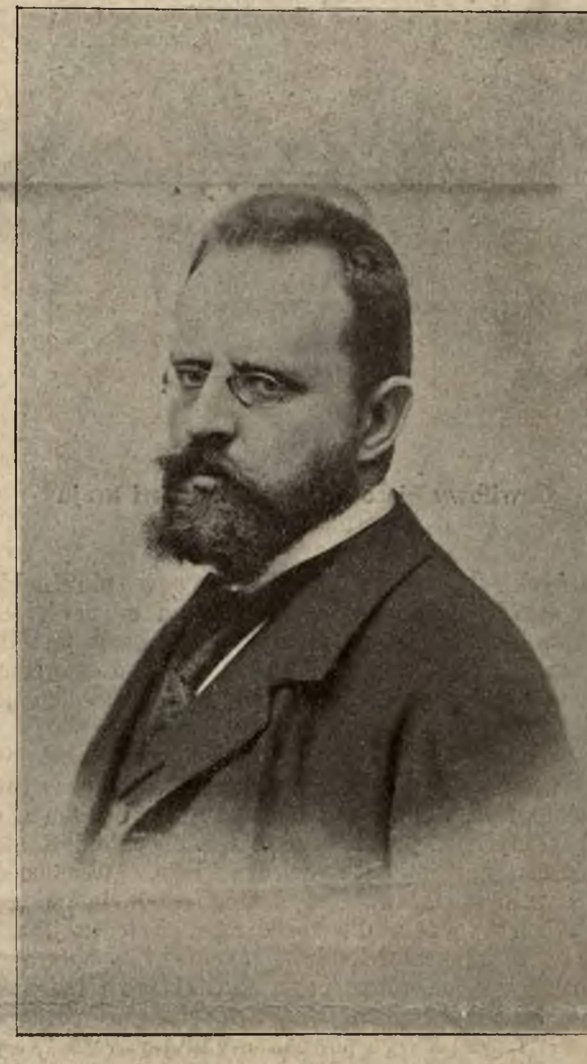
Przez szereg lat piastował też ś. p. Potocki godność radcy miejskiego. Już wówczas, choć wiekiem jeden z najmłodszych, należał do najwybitniejszych członków rady miasta Krakowa, tak iż poważne grono radców popierało jego kandydaturę na prezydenta miasta.

Wnet potem powołany został na szersze pole działalności. Został w 1901 r. marszałkiem kraju i przez dwa lata kierował autonomią Galicyi, wykazując na tem trudnem i odpowiedzialnem stanowisku niepospolite zdolności i wiedzę obok nadzwyczajnej energii, pracowitości i gorliwości. To też powołanie go w 1903 r. na stanowisko namiestnika, choć z jednej strony spotkało się z ogólnem zadowoleniem i uznaniem, z drugiej jednak wywołało żal, iż kraj traci z tego powodu tak znakomitego marszałka.

Chwilowy kierownik administracyi kraju.

Osierocone z powodu nagłej a tak tragicznej śmierci namiestnika Potockiego rządy naszego kraju, spoczęły na razie, zanim cesarz powoła następcę, w ręku wiceprezydenta namiestnictwa, Włodzimierza hr. Łosia z Grodkowa.

Jestto jeden z najstarszych urzędników namiestnictwa lwowskiego, cieszący się powszechnym szacunkiem i poważaniem. Jest też hr. Łoś znanym szeroko w sferach poselskich i sejmowych, ponieważ od bardzo wielu lat pełni funkcye komisarza rządowego w sejmie galicyjskim. Z tego tytułu stykał się w czasie swego urzędowania z kołami poselskiemi, miał też aż nadto sposobności do zaznajomienia się z biegiem najważniejszych spraw krajowych.



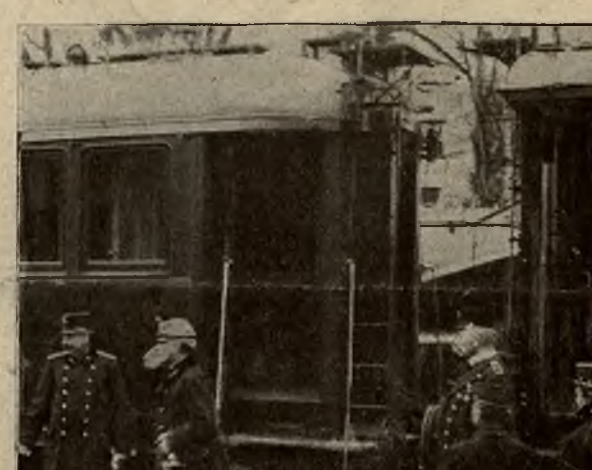
Z życia zmarłego Namiestnika: Portret ś. p. Andzeja hr. Potockiego z czasów działalności w krakowskiej radzie miejskiej.

Po strasznej zbrodni.

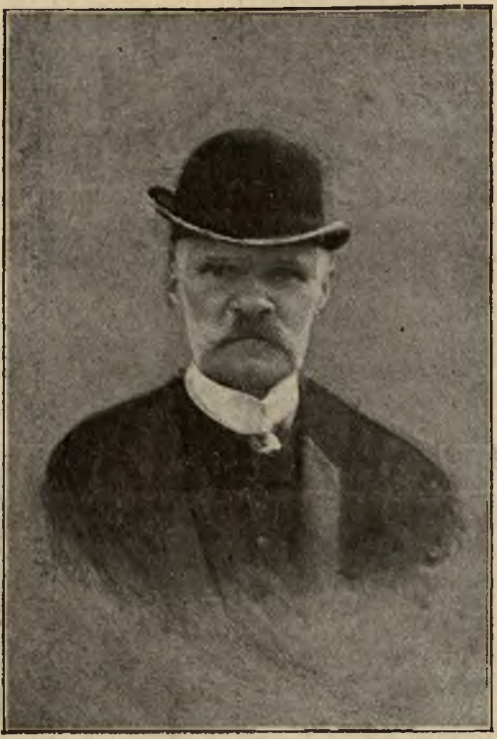
Przerażająca zbrodnia Mirosława Siczyńskiego zwróciła uwagę świata na atmosferę, wśród jakiej „bohater" ukraiński się wychowywał i wśród jakiej wzrósł. Przypomniał się też opinii brat jego starszy, nieżyjący już Mścisław. Przed kilku miesiącami odebrał on sobie życie we Lwowie, z powodu braków, jakie stwierdzono w funduszach jemu przez adwokata, w którego kancelaryi pracował, powierzonych. Brat ten należał także do wy-



Z pogrzebu w Krzeszowicach: 1. Kardynał książe biskup Puzyna; 2. Antoni hr. Wodzicki; 3. ks. biskup Wałęga.



Z pogrzebu w Krzeszowicach: Przedstawiciel następcy tronu hr. Auersperg.



Chwilowy kierownik administracyi kraju: Włodzimierz hr. Łoś

bitnych działaczów wśród szeregów ukraińskiej pajdokracyi. Walczył bohatersko na uniwersytecie lwowskim, łamał razem z innymi krzesła i stołki, krajał nożem portrety, a potem jako oskarżony o pospolity gwałt publiczny czynów swoich się wyparł.

Godnym jego przyjaielem i kompanionem był akademik Mikołaj Hałuszczyński, także uczestnik pamiętnej „borby" na uniwersytecie i jeden z oskarżonych w procesie. Pan ten obecnie jest studentem uniwersytetu wiedeńskiego. Wiadomość o czynie Mirosława Siczyńskiego przejęła go „podziwem" i czcią dla rozbójnika. Więc z jeszcze jednym admiratorem hajdamackiego bohaterstwa pospieszył do domu posła Lewickiego i imieniem młodzieży ukraińskiej wyraził siostrze mordercy cześć i sympatyę, z powodu czynu jej brata. „Czyn ten napawa cały naród ukraiński najwyższym podziwem". Siczyński zajmie — zdaniem hajdamaki-akademika — jedno z pierwszych miejsc w historyi walk narodu ukraińskiego.

To są tylko ułamki z mowy Hałuszczyńskiego, całość bowiem była tego rodzaju, że pisma wiedeńskie ze względów cenzuralnych nie mogły jej wydrukować. Już to jednak jest miarą kultury i etyki tego pokolenia ukraińskiego narodu, które wysuwa się na front i wywiera decydujący niemal wpływ na politykę całego swego społeczeństwa.

Wiadomość o deputacyi i treść mowy Hałuszczyńskiego wywołała oburzenie nietylko w pol-



Po strasznym mordzie: Mścisław Siczyński, brat mordercy

skiem społeczeństwie, ale i w Wiedniu, gdzie pisma niektóre, przytaczając fakt cały, domagają się usunięcia tego rodzaju zwyrodniałych i dzikich żywiołów z uniwersytetu.

Zdobycze francuskiej polityki.

Dyplomacya francuska, pomimo ciągłych prz- szkód, stawianych jej na każdym kroku prz- Niemcy, zdobywa coraz nowe tereny, na który- rozciągając swoje wpływy polityczne, zyskuje ten sposób dogodne pola zbytu dla swego prz- mysłu. Tego rodzaju zdobycze polityczne przyn- szą państwu daleko większe korzyści, niż zbroj- wyprawy w rodzaju marokkańskiej, gdzie ponie- sione koszta i straty nie prędko zostaną wyrówn- ne przez przyszłe korzyści.

Realne tryumfy dyplomatyczne i doniosłe ich skutki odnosi obecnie Francya w południowo-amerykańskiej republice Peru, gdzie dziesięciu oficerów i czterech podoficerów z pułkownikiem na czele dokonało w przyjacielski sposób podboju tego bogatego w minerały kraju. Oficerowie ci zostali zaproszeni w 1896 r. przez rząd peruwiański dla zorganizowania tamtejszej armii, przedstawiającej wówczas raczej tłumy maruderów, niż kar-

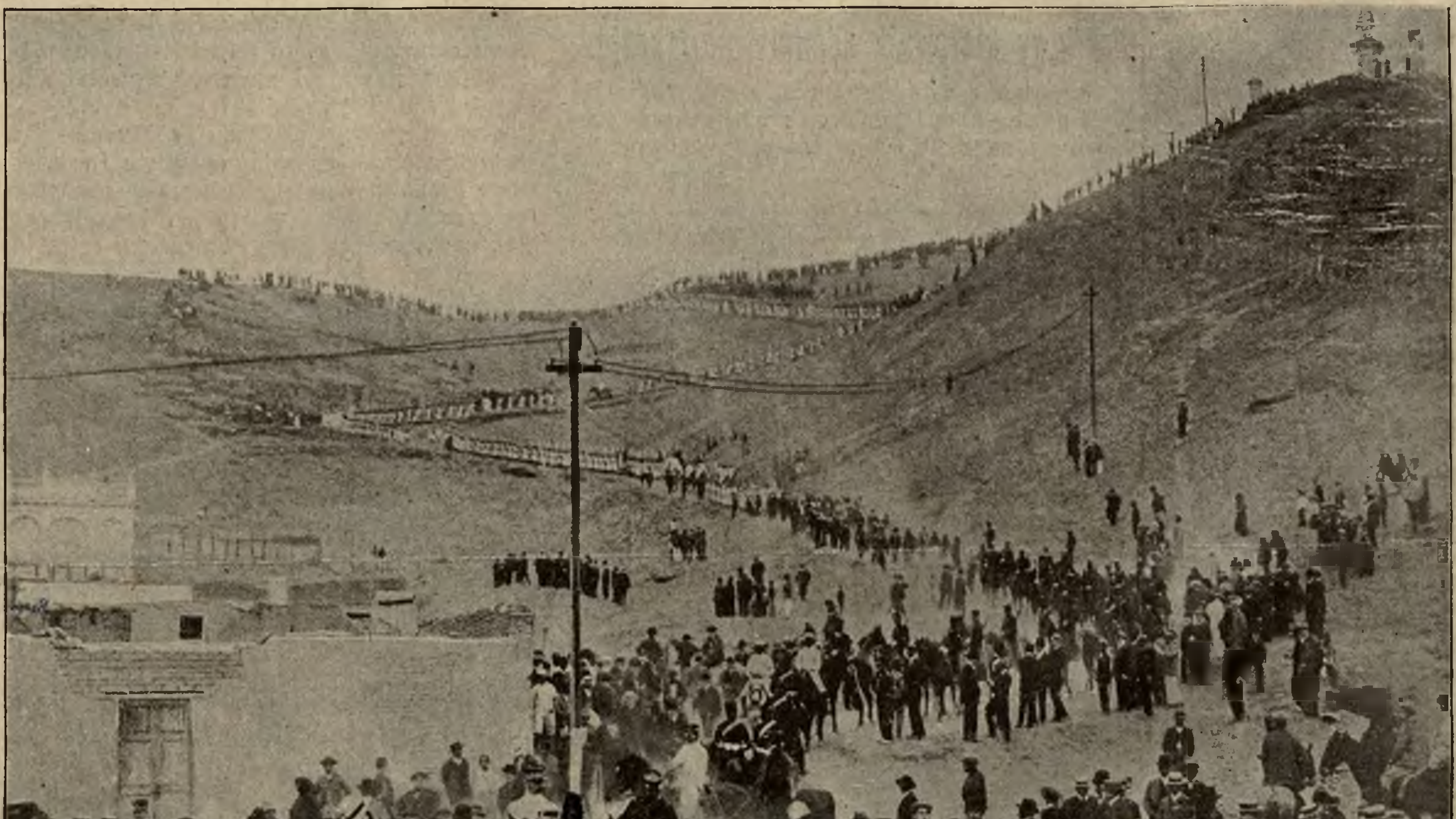


Po strasznym modrzie: Mikołaj Hałuszczyński.

nych żołnierzy. Po kilku latach ćwiczeń wojs- peruwiańskie, składające się na stopie pokojow- zaledwie z sześciu tysięcy ludzi, zostało w istoc- doprowadzone do poziom- wojsk europejskich, a- też obecnie w całym rz- dzie państwa wpływ- francuskie odgrywają - cydującą rolę.

Tak przy wyborach prezydenta jak i do Izby deputowanych głos i wola przedstawiciela Francyi wpływa stanowczo na ukonstytuowanie się tych ciał prawodawczych. Oprócz tego znaczenia politycznego, niezmierną korzyść przedstawiają dla Francyi stosunki handlowe z Peru, które jest nietylko cennym odbiorcą produktów francuskich, ale też dzięki korzystnemu dla Francyi ustanowieniu ceł daje jej możność korzystania ze swych bogactw kopalnianych.

Rycina nasza przedstawia obecnego prezydenta Peru, Pardo y Barreda, gdy w towarzystwie ministra wojny i pułkownika francuskiego André wraca do swej stolicy Limy po odbyciu manewrów.



Zdobycze francuskiej polityki: Wjazd prezydenta Peru do Limy.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

23

(Ciąg dalszy).

— Opinia!? — uśmiechnęła się z ironią. Nie znam nic bardziej zmiennego i niesprawiedliwego. Opinię tworzą przeciętni ludzie i chcąc się zgodzić z innymi, obniżają swą inteligencyę do najniższego stopnia. Czegóż nie wygaduje opinia na socyalistów? anarchistów?

— To prawda, ale bądźcobądź z opinią trzeba się liczyć, a zwłaszcza kobiecie — powiedział sentencyonalnie.

Janka z pewnem lekceważeniem spojrzała na niego i rzekła:

— Najpierw nie zgadzam się na wyszczególnienie kobiet i nie rozumiem dlaczego opinia dla mężczyzny ma mieć mniejsze znaczenie. Następnie jedynie ważna opinia o mnie nie leży na zewnątzz mnie, lecz we mnie samej. Postępuję tylko tak, jak mi dyktuje mój rozum, lub moje uczucie, bylebym była w zgodzie ze sobą samą, reszta świata nic mnie nie obchodzi i na nim mi nic nie zależy.

— Teorya panno Janino... Kiedyś, czego nie życzę pani, życie przekona panią, a doświadczenie bywa prawie zawsze gorzkie.

— Nie lubię proroctw — uśmiechnęła się — co ma być, będzie.

— Więc wierzy pani we fatalizm?

— Nie... sama kieruję życiem i sama odpowiadam za nie.

— Różnię się z panią, ale to rzecz podrzędna, lecz zanim ma „być, co będzie" — uśmiechnął się — radzę pani zasięgnąć porady lekarza i więcej uważać na swe zdrowie.

— I bez tej rady zrobię to, o ile będę się czuła słabą... ale to minie, to tylko zmęczenie.

— Zdaje mi się, że służba kasowa męczy panią, a naczelnik, zresztą dobry człowiek, zamiast ułatwić pani służbę, utrudnia ją.

— Ja się nie skarżę na niego... Skoro biorę [illegible], muszę pracować, a będąc w służbie, muszę słuchać — powiedziała z odcieniem goryczy.

— W zasadzie ma pani słuszność... ale to się z czasem zmieni na lepsze, skoro nabędzie pani rutyny.

— Tylko żadnych protekcyj!

— Słyszałem już o tem i przyrzekam, że tu nie użyję mego wpływu, stosownie do życzenia pani.

W lesie zapadał już zmrok, cienie drzew stawały się gęstsze i ciemniejsze i tylko przez górne gałęzie świerków przebłyskiwało zachodzące słońce, a z drobnych gałązek i igliwia tworzyły się fantastyczne, nader wytworne i delikatne koronki. Ptactwo przed nadejściem nocy wyśpiewywało na swój sposób pożegnanie dnia jasnego i słonecznego. Gdzieś gwizdnął kos, zakrzyczała złocista wilga, odezwały się sikorki, a z dalekich pól szły odgłosy przepiórek i chruścieli. Las stał w ciszy, poważny, jak gdyby zapatrzony w zachód, zasłuchany w drgające życie, w zapachy kwiatów, w dźwięki komarów, w buczenie chrabąszczy.

Z dalekiego kościoła nadpłynęły głosy sygnaturki, przez chwilę zatrzymały się nad lasem i utonęły w harmonii wieczoru letniego...

Janka wstała i powiedziała przyciszonym głosem, jak gdyby bała się zmącić weselną pieśń lata:

— Chodźmy... już czas.

— Jeszcze chwilę — prosił niemal szeptem — tak tu cicho, dobrze, zdaje mi się, że przeżywam bajkę cudowną... Zdala od ludzi, świata, od życia codziennego, jesteśmy w kraju czarów i poezyi... Widzi pani te światełka fosforyczne wśród traw i mchów, one błysną i gasną, jak myśl lub uczucie krępowane słowami.

Janka czuła się dziwnie rozdrażnioną, niepokoił ją ciemny las, osamotnienie we dwoje i nastrój wieczoru. Opadły ją nieokreślone tęsknoty, niejasne wspomnienia prześnionych marzeń, pragnienia spokoju i szczęścia, niedające się ująć ani w słowa, ani w obrazy. Broniąc się przeciw rozmarzeniu, rzekła z ironią:

— Nie wiedziałam, że pan taki poetyczny.

— I najpospolitsi ludzie mają chwile poezyi — rzekł z odcieniem żalu — i one stanowią ich szczęście i najmilsze wspomnienia. Kiedyś, w prabycie byłem może zwierzęciem nocnem lub rośliną, która swój kwiat otwiera, gdy nastaje nocna cisza i spokój, gdyż i ja zrzucam wówczas więzy urzędnicze, pęta życia codziennego i jestem sobą, a raczej odnajduję siebie.

Słuchała go z pewną ciekawością, na razie był on dla niej tylko interesującym okazem życia podwójnego, raczej dwoistego. W dzień urzędnik ścisły i pedantyczny, wieczorem marzyciel i romantyk. Spojrzała na niego i w półcieniu zmroku, z marzącemi oczyma, z tym głosem miękkim, falującym wewnętrznem wzruszeniem wydał się jej sympatycznym i oryginalnym. Powiedziała też z odcieniem współczucia:

— Pan jednak nie jest szczęśliwy.

— Szczęśliwy?... Czyż pani nie rozumie, że szczęście lub nieszczęście jest w nas samych? W tej chwili wystarcza mi do szczęścia, że jestem tu, z panią i nic więcej nie pragnę, nie żądam..

— Dosyć tego... idźmy, już późno.

— Dobrze... chodźmy — i idąc obok niej mówił — wie pani? Jest wiara ogólna, może przesąd, że szczęście tylko raz w życiu zbliża się do człowieka i da się ująć. Dziś mam to wrażenie, że szczęście przesuwa się tuż obok.

— Wrażenia bywają omylne, a doświadczenie, jak pan mówił, jest gorzkie—powiedziała chłodno.

— Ja też nie chcę doświadczać — mówił z żywością — poddaję się wrażeniom chwili i pragnął bym ją przedłużyć, ażeby wyzyskać całą jej słodycz.

— Nie znam podobnych nastrojów — powiedziała swobodnym głosem Janka, odzyskała bowiem panowanie nad sobą — no i nie zazdroszczę panu, bo przebudzenie bywa chyba niemiłe.

— Jak zwykle z miłych snów — dodał cicho.

Szli w milczeniu czas jakiś. aż doszli do skraju lasu. Z pomiędzy rzadkich drzew przebłyskiwały rozświetlone okna stacyi, przesuwały się na torze lampki służby kolejowej, słychać było nawoływania, gwizdy i głuchy turkot wozów przesuwanych.

— Otóż i rzeczywistość — uśmiechnęła się Janka.

— Szkoda — westchnął Lerche.

— Jaki z pana dziwny człowiek — mówiła swobodnie — złudzenia swej wyobraźni bierze pan za poezyę, a właściwa poezya, która krzepi ciało i ducha i nadaje czar nawet najpospolitszej rzeczy, jest w życiu i samem życiem.

— Niegdyś i ja tak sądziłem, ale wówczas byłem młody, jak pani obecnie, a młodość zabarwia wszystko różowo. Ale gdy życie wprzęgnie nas w kierat obowiązków, poezya znika, a zostają męty.

— Naturalnie, że są przykrości, nawet brudy, ale to mija szybko, zaciera je samo życie, które jest piękne z tą nieustanną walką o prawdę, sprawiedliwość i szczęście.

— I sądzi pani, że z tej walki wyjdzie pani zwycięską? — uśmiechnął się ironicznie.

— Naturalnie... Jeśli nie ja, to inni, dalsi, ale ostatecznie idea zwycięży, bo jest nieśmiertelna.

— A w jaki sposób teraz pani walczy o zwycięstwo idei? — spytał zaciekawiony.

— Teraz?... Przygotowuję się, uczę, doświadczam, aż przyjdzie czas na czyn.

— Zazdroszczę pani tej wiary w życie i w ideę.

— I pan posiadłby ją, gdyby pan przejął się zasadą sprawiedliwości i dobroci względem ludzi.

Wymawiając te słowa, przypomniała sobie sprawę Stańskiego i zdjęła ją obawa, że on zostanie przeniesiony. Byli już w pobliżu mieszkania Janki, a ona chcąc zyskać na czasie, spytała:

— Kiedy pan odjeżdża?

— Jakto? pani, kasyerka stacyi i nie zna rozkładu pociągów? — zaśmiał się — nocować tu nie będę, mam jednak dosyć czasu... i chcąc uniknąć nudnej rozmowy z naczelnikiem, pójdę w pole... może do lasu.

— Pan zapewne zmęczony, może odpocznie pan u mnie.

— Jeśli tylko nie przeszkodzę — powiedział rozpromieniony.

— Gdyby mi pan zawadzał, nie prosiłabym wcale... przecież obowiązuje nas szczerość — uśmiechnęła się.

— Więc idźmy.

W kamienicy kolejowej wrzało jeszcze życie, po kurytarzach biegały dzieci na wpół rozebrane, a przed samem wejściem gawędziło kilka kobiet. Na widok Janki i inspektora umilkły nagle i wpiły swe oczy w nadchodzącą parę. Portyerka, a za nią inne kobiety, skłoniły się nisko, na co Lerche powiedział uprzejmym tonem:

— Dobry wieczór paniom.

— Całuję rączki pana inspektora — odpowiedziała portyerowa, a inne mrucząc, powtórzyły jej słowa.

W kurytarzu dzieci stawały zdziwione, widząc pana, który tak bardzo wyróżniał się ubraniem od zwykłych mieszkańców kamienicy. W drzwiach otwartych pokazały się głowy kobiet, zaciekawionych wejściem inspektora.

Na drugiem piętrze spotkała ich Zgierska i powitała ukłonem i spojrzeniem figlarnem, mówiąc szybko:

— Nareszcie paniusia przyszła, pewno pan inspektor znalazł panią w lesie... o, serce się nie myli — zaśmiała się — zaraz podam kolacyę, a może i pan inspektor nie pogardzi przekąską.

— Dziękuję pani, nie jestem głodna — powiedziała Janina, mijając ją.

— Na to, ani pan inspektor, ani ja nie pozwolimy — zawołała — na obiad zjadła pani łyżkę zupy, a teraz znów nie chce pani, tak nie można.

— Więc niech już pani przyśle — westchnęła Janka.

Zgierska uradowana, że poczęstuje inspektora i przez to pozyska względy dla męża, powiedziała głośno:

— Ja się nie pokażę, rozumiem przecież... Kasia sama przyniesie.

Ta głośna rozmowa zwabiła na kurytarz sąsiadów, lecz gdy spostrzegli inspektora pochowali się szybko.

Lerche przechodząc przez kurytarze i schody tej kamienicy, widząc wokoło szpiegujące oczy, czuł się skrępowanym i rozdrażnionym. Wszedł zły i chmurny do pokoju, i dopiero gdy ujrzał Jankę spokojną, bez śladu zaniepokojenia i rozdrażnienia zapalającą lampę, odetchnął i uśmiechnięty, szczęśliwy, usiadł za stołem, na którym leżało kilka książek.

Wziął z nich jedną do ręki i odczytał tytuł: Marks, walki klasowe we Francyi. Przerzuciwszy kilka kartek odłożył ją i spytał:

— Panią interesują te książki?

— Naturalnie, przecież mówiłam już panu, że przygotowuję się teoretycznie.

— I w jakim celu?

— Nic nie biorę dogmatycznie, ze ślepą wiarą w powagę, a więc i w socyalizm nie chcę wierzyć, lecz chciałabym go zbadać krytycznie i jeśli odpowie moim wymaganiom, przyjmę go w zupełności lub zmienię.

Spojrzał na nią ze szacunkiem, był bowiem przekonany, że ona nasłuchawszy się ładnie brzmiących frazesów agitatorów i przeczytawszy trochę broszur popularnych, została wyznawczynią teoryi socyalistycznej.

Wszczęli oboje rozmowę o socyalizmie i z kolei rzeczy przyszła kwestya wolnej miłości.

— Mojem zdaniem — mówił Lerche — ta dowolna zmiana związków małżeńskich przez mężczyzn i kobiety, rozbija rodzinę i pozbawia dzieci opieki i pomocy, a przecież nie prosiły się o świat.

— Jak się ukształtują związki pomiędzy mężczyzną a kobietą w przyszłym ustroju, tego przewidzieć nie można — broniła się Janka. W każdym razie będą inne, aniżeli dzisiaj, bo muszą się opierać na prawdzie i szczerości.

— A czyż dzisiaj ludzie się nie kochają szczerze, prawdziwie? Tylko, że ich związki mają tę wyższość nad wolną miłością, iż obowiązuje ich wychowanie i wykształcenie dzieci.

— Ach, te dzisiejsze związki — zaśmiała się Janka — one składają się z obłudy i kłamstwa. Widzę to przecież, chociaż nie żyję nawet ćwierć wieku. Po pierwszych latach, a jak mi się zdaje już po roku, mężczyzna szuka miłostek, żona kokietuje, flirtuje, wreszcie romansuje i w ten sposób nastaje milcząca umowa i zgoda, a jeśli jedna strona, albo obie chcą dotrzymać przyrzeczeń, ich pożycie staje się ciężarem, uczucie, treść ich współżycia ulatuje, a zostaje przymus, najwstrętniejsza rzecz dla mnie.

— To przesada i pesymizm przemawia przez panią — zaśmiał się Lerche.

— Tak pan sądzi? Więc rozejrzyj się pan po swoich znajomych, a nie chce pan wdawać się w cudze sprawy, spróbuj pan wejrzeć w swe własne życie, ale bez okularów samolubstwa.

— Moje życie? — zamyślił się na chwilę — raz kochałem jako młody chłopiec... potem pustka, cisza... aż wreszcie drugi raz.

— Zatem widzi pan — zaśmiała się — pan sam uprawiał wolną miłość, bo kochał się dwukrotnie.

— O nie, raz kochałem i ożeniłem się—wstrzymał się nagle.

— Pan?... Pan żonaty?

— Tak jest, będąc studentem niemal, bo po ukończeniu studyów ożeniłem się... ale to rozdział z mego życia, z którego nikomu się jeszcze nie zwierzyłem... i zachowaj pani to przy sobie.

Janka sądząc, że Lerchemu umarła żona i że niechcący poruszyła przykre wspomnienia, powiedziała tonem współczucia:

— Dobrze... nie wspomnę o tem.

Inspektora ujęła ta gotowość Janki, więc zaczął tonem swobodnym:

— Wie pani, dziwię się, że pani, młoda dziewczyna, a mówi tak śmiało o małżeństwie, wolnej miłości...

— Bo jestem szczera — uśmiechnęła się — ogólnie przyjęto, że panna powinna tylko to wiedzieć i widzieć, co jej polecają starsi, np. rodzice, opiekunowie, nauczycielki... ale i my mamy otwarte oczy i uszy. Naturalnie dużo szczegółów nie zna się, ale rzeczy widoczne, bijące w oczy, muszą przedostać się do mózgu i pamięci. Oczywista rzecz, że dużo panien, bardzo dużo, udaje, bo tak każe obyczaj i kajdany towarzyskie w słowach: „nie wypada“, mnie jednak obrzydły te formy i nie będę się ich trzymała.

— Rozumiem i uznaję — rzekł Lerche — ale szczerość w tych rzeczach stosuj pani tylko do przyjaciół.

W tej chwili weszła służąca, niosąc na tacy kolacyę, a w kuchence słychać było brzęk talerzy. Widocznie ktoś ustawiał potrzebne nakrycia. Istotnie służąca nakryła stolik białym obrusem, wniosła talerze, filiżanki z herbatą i potrawy. Po chwili wyszła.

Jedli oboje, a inspektor dopytywał się o drobne szczegóły życia codziennego.

Przy sposobności odezwała się Janka:

— Niech mi pan powie szczerze, czy p. Stański musi być przeniesiony z Horyni?

— „Musi“ to za ostre słowo, ale może będzie... Tak samo, jak prawdopodobnie pani...

— Ja? — zawołała — za co? Czy źle prowadzę kasę? Czy obraziłam naczelnika?

— Nie za kasę —uśmiechnął się z jej prawie przerażenia — tylko dla dobra pani... Tu choruje pani.. służba męcząca... naczelnik szorstki, naczelnikowa przykra.

— Ależ ja nie chcę... przyzwyczaiłam się tutaj, podoba mi się miejsce.

— Znajdzie się ładniejsze i nocami będzie pani miała spokój.

Coraz gorzej, pomyślała Janka, jeśli Stański i ja wyjedziemy, co zrobi partya? co powie Wapieński? Na swoje przeniesienie ona nie pozwoli, a ten Lerche, taki dobry dla niej, uprzejmy, musi go uprosić, więc powiedziała, patrząc mu w oczy:

— A gdybym ja pana poprosiła, ale bardzo poprosiła... czy nie użyłby pan swojego wpływu, ażebym tu została? To pierwsza moja prośba.

— Hm... pierwsza nie jest — uśmiechnął się— już raz pani żądała, ażebym powiedział nazwisko tego, który zdradził schadzkę.

— A tak... ale na nazwisku nie zależy mi teraz tyle, ile na pozostaniu tutaj.

— Mógłbym się postarać i postaram się, ale pod warunkiem.

— Jakim? — spytała z gotowością.

— Pani będzie się leczyła i podda się poleceniom lekarza, bo z urzędników chorych kolej niema korzyści.

— Czy tylko tyle? — uśmiechnęła się z odcieniem radości — ależ dobrze.

— Niechże pani pamięta. że przyrzeka pani spełnić polecenia lekarza w całej rozciągłości.

— Wiem... i już zostaję tutaj?

— Postaram się.

— Napewno?

— Przyrzekam.

— To dobrze... a teraz druga prośba... i spełni ją pan?

— Nie wiem... mów pani.

— Chciałabym, żeby pan Stański tu został także...

— Hm... on? To będzie trudne... Zresztą, powiedz mi pani szczerze, dlaczego zależy pani na tem?

— Dlaczego? — namyśliła się — otóż przyrzekłam panu mówić prawdę, a wyjaśnienie jest na razie niemożliwe, póki nie upewnię się co do pana i nie będę mu ufała. Pozostanie jego nie zostaje w żadnym związku ze mną osobiście, ale zawierz mi pan... on tu naprawdę potrzebny.

— Jeśli pani nie może powiedzieć, to nie... ale wyjaśni mi pani, gdy pozyskam zaufanie.. ano, niech i tak już będzie — westchnął.

— Zatem zostanie? — spytała.

— Ulegam życzeniu pani.

— Dziękuję panu — wyciągnęła ponad stołem swą małą, białą rękę, którą on ucałował. Cofnęła mu szybko, mówiąc lekko zmieszana:

— Niech pan mnie w rękę nie całuje, wystarcza uścisk... dobrze?



We drzwiach pokazały się głowy kobiet, zaciekawionych wejściem inspektora.

— Zgadzam się i na to — skinął głową.

Milczeli. Janka z pewnem rozczuleniem i wdzięcznością rozmyślała nad dobrocią inspektora. On istotnie jej sprzyja, i dobry dla niej, wyrozumiały i w jaki sposób ona mu się odwdzięczy? Możeby mu powiedzieć coś miłego, przyjemnego, ale nic nie mogła wymyśleć.

— Panno Janino — odezwał się inspektor Lerche — czy zależy pani na nazwisku donosiciela?

— Naturalnie... przecież mnie podejrzewano i dużo miałam przykrości.

— Więc powiem, bo życzeniu pani nie mogę odmówić... ale to sprawa urzędowa, nie rób pani użytku z tego, bo następstwa mogłyby być dla mnie przykre.

— Zastosuję się do życzenia... zatem... albo nie, ja sama powiem, a pan potwierdzi lub zaprzeczy.

— Dobrze... któż taki?

— Zaraz... jeszcze raz przypomnę sobie proces mego rozumowania... wiem już... przed panem zeznał pan Berkholc.

— Tak jest... ale mam przyrzeczenie pani, nieprawdaż?

— Po co pan powtarza? — mówiła zniecierpliwiona — wiem zawsze, co mówię i tajemnic dochowuję bezwarunkowo.

— Będę pamiętał — uśmiechnął się i spojrzawszy na zegarek dodał – idę już, pociąg za pięć minut odchodzi, a nie mogę nocować w Horyni.

Wstał, podał rękę, którą ona dosyć serdecznie uścisnęła, a wychodząc mówił:

— Będę w tych dniach.. zobaczymy się, nieprawdaż?

— Pytanie zbyteczne — uśmiechnęła się — i do widzenia.

Zaledwie drzwi się zamknęły a Janka poczęła sprzątać po kolacyi, wpadła rozpromieniona Zgierska, wołając z progu:

— A co paniusiu, kolacya była wyborna! Smakował mu befsztyk, sama robiłam, na świeżem maśle... Chwalił?

— Tak, tak... wszystko było doskonałe... ale możeby przyszła Kasia i zabrała naczynie.

— Zaraz... sama zabiorę. A co? czy źle zrobiłam, że wysłałam go do lasu? Nie wiedziałam wprawdzie, ale trafiłam dobrze... A-leż on w pani rozkochany — zaśmiała się głośno — dopiero naczelnikowa z córką pożółkną z zazdrości.

— To mnie nic nie obchodzi — powiedziała Jnnka obojętnie — i jestem taka senna, zmęczona...

— Zaścielę łóżko — ofiarowała się Zgierska podchodząc.

— Nie, dziękuję, sama to zrobię... byle zabrać te talerze...

— Już biorę... Ja to rozumiem — uśmiechnęła się — po takiej wizycie i to inspektora, dla którego trzeba się wysilić z grzecznościami, to męczy... wiem o tem sama, bo gdy raz...

— Pani Zgierska, zawołam Kasię, ona to zrobi...

— Po co? Już idę... a przy sposobności niech paniusia powie dobre słowo o nas... taki inspektor wszystko co zechce, może zrobić.

— Dobrze, dobrze... dobranoc pani.

Po jej wyjściu poczuła niesmak tej rozmowy i niechęć, ale równocześnie pomyślała, iż trzeba być wyrozumiałą na takie wady ludzkie. Układając się do snu przypomniała sobie szczegóły rozmowy z Lerchem. On jednak dobry człowiek, wrażliwy i dałby się powodować, może zostałby socyalistą, to byłby tryumf! Ta Zgierska o jego zakochaniu mówi głupstwa, gdzieżby on, człowiek przeszło czterdziestoletni, mógł ją pokochać? Ona przecież mogłaby być jego córką i on napewno nie myśli o miłości, jest zanadto rozumny. Dla niej czuje przyjaźń, podobała mu się jej otwartość jako socyalistki, może przez próżność okazuje, co on może zrobić... ale bądźcobądź jest dobry i oczy ma wyraziste, szczere i takie głębokie, a jak mówi, to w głosie czuć szczerość, no i przyjaźń... Więc Stański i ona pozostaną tutaj, jakie to szczęście, a to on zrobił... on jednak jest dobry... i powiedział jej o Berkholcu... on jest bardzo dobry...

XIII.

Na drugi dzień cała stacya wiedziała, że inspektor spotkał Jankę w lesie, że odprowadził do domu, że zjadł z nią kolacyę zrobioną przez Zgierską i że w ostatniej chwili siadł do pociągu.

Naczelnik spospępniał. Jako mężczyzna zrozumiał, że Janka podobała się inspektorowi, który dla niej zapomniał nawet o swem stanowisku i powadze. Naturalnie ona wywiera wpływ na niego i zrobi, co zechce. Jako doświadczony kolejarz wiedział doskonale, co może taki inspektor, prawa ręka dyrektora, który we wszystkiem zasięga jego rady. Żadne skargi tu nie pomogą, żadne żale i pretensye, trzeba się poddać konieczności i załagodzić spór z kasyerką, ująć ją dla siebie, ażeby zapomniała o dokuczaniu. Byle mi te kobiety, myślał o żonie i córce, nie narobiły kwasów, jakoś to zrobię...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Śmierć siostry Bismarka.

W Prusiech zmarła przed kilku dniami, a w dziesięć lat po śmierci swego brata Bismarka, Malwina von Arnim, którą Niemcy w uwielbieniu dla swego mistrza przewrotności politycznej otaczali wielką czcią. Zazwyczaj sława wielkich ludzi spływa i na ich rodziny lub przyjaciół, którzy w ten sposób przechodzą po największej części do historyi, z tego też powodu, jako jedyna siostra i przyjaciółka, a zarazem pierwsza wielbicielka Bismarka, stała się znaną w świecie i Malwina Arnim.

Młodsza od swego brata o lat dwanaście, od najpierwszych lat młodości darzyła Bismarka wiel-



Śmierć siostry Bismarka: Malwina Arnim.

ką miłością siostrzaną, która z biegiem lat przemieniła się w uwielbienie i pewnego rodzaju kult dla niego. Ta cześć nie zmniejszyła się nawet po wyjściu jej za mąż za bliskiego swego sąsiada Arnima, który choć nie należał do otwartych przeciwników Bismarka, nie był jednak jego zwolennikiem. Z mężem swym przeżyła lat przeszło sześćdziesiąt, pozostawiając kilkoro dzieci, z których jedna córka wyszła za mąż za młodszego syna Bismarka.

Aresztowanie mordercy.

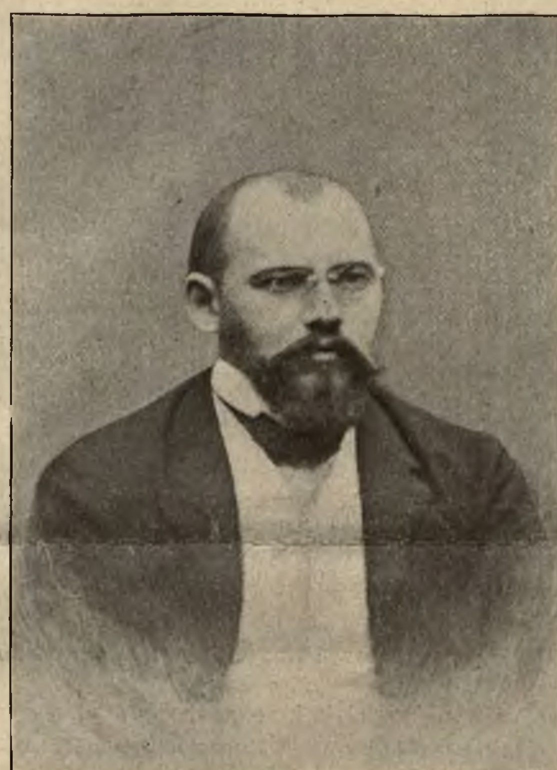
Mirosław Siczyński, niecny morderca śp. namiestnika Potockiego, został natychmiast po spełnieniu zbrodni aresztowany. Zawiadomiona o wypadku policya wysłała po zbrodniarza koncepistę Bihuna, który Siczyńskiego w dorożce odstawił na inspekcyę. Tam oczekiwał nań już starszy komisarz Stankiewicz i rozpoczął natychmiast indagacyę. Przebieg jej i wyniki znane.

Morderca z cynizmem opisał całą swą zbrodnię i nietylko nie okazał najmniejszej skruchy, ale przeciwnie, oświadczył, iż zadowolony jest z ostatecznego wyniku zamachu swego. Zatwardziałość mordercy, jego zachowanie się po dokonaniu zbrodni, oburzyły nawet urzędników policyi, choć ci stykają się bardzo często z wyrzutkami najgorszego kalibru i choć przesłuchiwanie zbrodniarzy to dla nich nie nowina.

Obrońca „uciśnionych“.

Pan dr. Rode jest figurką już nam znaną. „Hof- und Gerichts-advokat in Wien“. Wystąpił na szerszą widownię w ubiegłym roku, w czasie procesu studentów ruskich, oskarżonych o zdemolowanie uniwersytetu we Lwowie i poranienie dr. Winiarza. W procesie tym prowadził obronę.

Zawód obrońcy karnego jest zawodem bardzo pięknym i bardzo szczytnym. Ale pan Rode pojął swą rolę w tym procesie jako „interes“, który miał mu zrobić reklamę. Wykorzystał też nadarzającą się sposobność i powołując się na znajomość stosunków w Galicyi z tej racyi, że przebywał jakiś czas w Czerniowcach, w ciągu pamiętnego tego procesu „użył sobie“ na Galicyi i na społeczeństwie polskiem. Ani oskarżeni studenci, ani drugi obrońca, dr. Kos, choć sam Rusin, nie posunęli się do tak bezczelnych insynuacyj i napaści, jak pan mecenas Rode.



Obrońca »uciśnionych«! Adwokat wiedeński dr. Rode.

Sławny czyn Siczyńskiego dał panu Rodemu nową sposobność do zareklamowania swej osóbki. Nie pytany, ni proszony, ogłosił w dziennikach gotowość objęcia obrony Siczyńskiego w procesie, jaki mu zostanie wytoczony. Równocześnie zaś domagał się delegacyi sądu pozagalicyjskiego do przeprowadzenia rozprawy. Pomysłu sprytnego adwokacika chwycili się Rusini i domagają się coraz natarczywiej odebrania praw osądzenia tej zbrodni jedynie kompetentnej ławie przysięgłych we Lwowie.

Pan Rode zaś tymczasem „interweniuje“ w Wiedniu. Nie mogąc w sądzie, robi to bodaj w policyi, dokąd wezwano kwiat ruskiej młodzieży, aby zwrócić jej uwagę, iż pochwalanie zbrodni pachnie kryminałem.

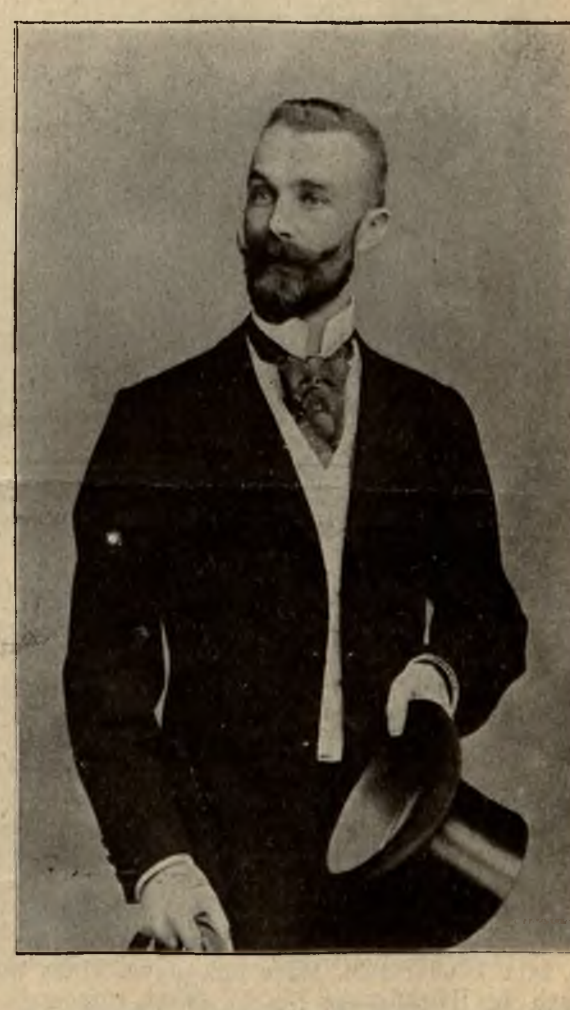


Aresztowanie mordercy: Starszy komisarz policyi Franciszek Mogiła Stankiewicz.

Koryfeusze hajdamaczyzny.

Niesłychana zbrodnia, popełniona na osobie namiestnika hr. Potockiego przez „bohatera“ ukraińskiego, Mirosława Siczyńskiego, zwróciła uwagę całego cywilizowanego świata na „czoło“ społeczeństwa ukraińskiego, na tych moralnych sprawców straszliwej, o pomstę do nieba wołającej zbrodni.

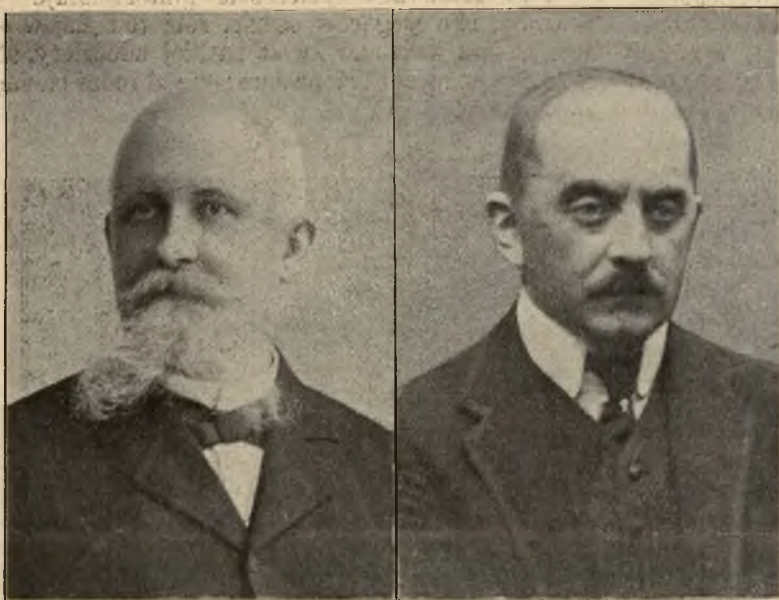
W chwili, gdy wieść ponura rozeszła się po świecie, przywódcy ci, szefowie hajdamaczyzny, bawili w Wiedniu. Nie taili oni wcale zadowolenia, nawet radości z przelania niewinnej krwi. Otrzy-



Aresztowanie mordercy: Koncepista policyi Dyonizy Bihun.



Koryfeusze hajdamaczyzny: Posłowie: 1. Wieczysław Budzynowski, 2. dr. Kiryło Trylowski, 3. Eugeniusz Lewicki.



Koryfeusze hajdamaczyzny: 1. Poseł Julian Romańczuk; 2. Poseł Mikołaj Wassilko.



Psy na usługach policyi: Oddział żołnierzy policyjnych z wytresowanymi psami.



Przed końcem walk w Marokku: Sułtan Abdul Azis w czasie konferencyi z posłem francuskim.



Psy na usługach policyi: Przed wyruszeniem na obławę

mawszy wiadomość o strasznym wypadku, rzucali się sobie w objęcia i serdecznie ściskali, gratulując zwycięstwa „idei“ hajdamackiej. A zaraz potem rozpoczęli pracę. Chodziło o zyskanie sympatyi prasy wiedeńskiej, która dotąd zawsze otwierała szpalty swych pism dola elokubracyi ukraińskich, dla beszczeszczenia społeczeństwa i narodu polskiego. Posłowie ukraińscy liczyli i w tym wypadku na zadzierżgnięte węzły sympatyi i przyjaźni, aby zaś zadanie swe należycie wypełnić, podzielili role bardzo dowcipnie i bardzo chytrze.

„Powagom“ swoim, najstarszym w narodzie, polecili głoszenie oficyalnej żałoby i współczucia, oraz żalu i oburzenia. Więc prezydyum klubu w osobach p. Romańczuka i p. Wassilki, rozpoczęło wędrówkę po redakcyach pism i rozdzieranie szat z powodu zbrodni Siczyńskiego. Ten Siczyński — to socyalista, to radykał, to anarchista — wszystko, tylko nie ukrainiec. Społeczeństwo ukraińskie stanowczo potępia akt zbrodniczy, stanowczo się z nim nie solidaryzuje, jakkolwiek go uważa za usprawiedliwiony z powodu nadużyć rządu krajowego w Galicyi.



Psy na usługach policyi: Spuszczenie ze smyczy.

Prezydyum klubu przypominało również, że niejednokrotnie zwracało się z ostrzeżeniem do rządu wiedeńskiego, wskazując na rozgoryczenie mas ludowych i na gromadzące się na horyzoncie politycznym Galicyi wschodniej chmury.

Przypominało dalej szanowne prezydyum klubu ukraińskiego, że niedawno jeszcze poseł Wassilko wprost żądał odwołania namiestnika Potockiego, gdyż w przeciwnym razie klub nie może ręczyć za spokój w kraju. Dowodzili też pp. Wassilko Romańczuk, że Siczyński dążył do tego samego celu, tj. do usunięcia niewygodnego Ukraińcom namiestnika. Cel przecież bardzo wzniosły i patryotyczny.

Inne role objęli młodsi posłowie ukraińscy.

Ci rozeszli się także po redakcyach pism wiedeńskich, ale nie wyrażali tam żalu ani oburzenia, lecz przeciwnie manifestowali publicznie swoje zadowolenie. Przedewszystkiem zaś unosili się nad „bohaterstwem“ Siczyńskiego. To czyn, który sławą opromienił cały ruch ukraiński. Oby się tacy na kamieniach rodzili. *Vivat sequens!* Pan Wieczysław Budzynowski i pan dr. Kiryło Trylowski, ataman „Siczy“, znaleźli też nową sposobność do obrzucenia gradem obelg całego społeczeństwa polskiego, do zbeszczeszczenia narodu naszego, do zamanifestowania hajdamackich aspiracyi.



Psy na usługach policyi: Początek »pracy«.



Psy na usługach policyi: Śladami zbrodniarza.

Obaj ci „mężowie" sławni są już ze swych czynów i ze swej polityki. Pan Budzynowski wszakże jeden z pierwszych podniósł przed paru laty i głosił publicznie w czasie agitacyi o równe i powszechne głosowanie, hasło walki bratobójczej z Polakami, hasło „za San z Lachami", a potem nawet głosił potrzebę wywieszania całej szlachty polskiej a co najmniej wytopienia jej. To samo hasło podniósł on potem jako poseł, jako wybraniec ludu, w parlamencie. I nie wstydził się. Dlaczegożby więc miał się wstydzić czynu, który był zrealizowaniem jego „snów o potędze", jego marzeń i ideałów.

Osoba dr. Trylowskiego nie mniej jest znaną. Twórca „Siczy" zrewoltował całe wschodnie podkarpacie, całą Huculszczyznę, gdzie najłatwiej mu było osiągnąć swój cel, bo tam lud najciemniejszy. A w ciemnościach duchy takie najchętniej brodzą.

Powszechną uwagę zwrócił też na siebie poseł dr. Eugeniusz Lewicki. Na niego najwięcej spadło blasku z „bohaterskiej" zbrodni Siczyńskiego. Bo ten rozbójnik i morderca, to jego szwagier, bliski powinowaty, a bliski nie tylko węzłami rodzinnymi ale i wspólnością idei. Więc poseł dr. Lewicki z dumą doniósł swej małżonce, a siostrze mordercy



Psy na usługach policyi: Dopadnięcie winnego.

o fakcie, kończąc wiadomość słowami, iż „duma narodowa ją wzmocni".

Takie same stanowisko zajęli wobec strasznego czynu Siczyńskiego studenci ukraińscy, przybywający w Wiedniu na tamtejszym uniwersytecie. I oni się publicznie radowali i oni sobie gratulowali, a nawet wysłali deputacyę do siostry mordercy, a żony posła Lewickiego. A na zgromadzeniu w jednej z kawiarń tamtejszych gloryfikowali czyn hajdamaki i jego zbrodnię, zaprotestowali zaś nawet przeciw krokodylim łzom prezydyum klubu.

Powstał więc rozdźwięk w obozie ruskim, który doprowadził do przesilenia. Posłowie Romańczuk i Wasilko złożyli przewodnictwo klubu, uważając, że takie jawne gloryfikowanie zbrodni popsuje do reszty nadszarpaną i tak opinię ukraińskiej delegacyi. Można się cieszyć w duszy, można zacierać ręce z radości, ale nie potrzeba tego manifestować.

Przed końcem walk w Marokku.

Zbrojna akcya Francyi w Marokku poczyna zbliżać się ku końcowi. Od chwili objęcia nad wojskami francuskiemi dowództwa przez generała d'Amade, który przedewszystkiem zażądał z Francyi znaczniejszych posiłków i rozpoczął niemi energiczniejszą akcyę, plemiona marokkańskie poczęły okazywać bardziej pokojowe usposobienie, żądając już to zawieszenia broni, już to wysyłając poselstwa z prośbą o pokój.



Psy na usługach policyi: Tryumf czworonożnego ajenta



25-lecie Muzeum Narodowego: Sala z zabytkami sztuki polskiej. **Aparatem redakcyjnym W. Lis.**

Generał d'Amade, nauczony poprzednimi podstępami Marokkańczyków, którzy rozpoczynali pokojowe negocyacye, aby tylko uśpić czujność Francuzów, przyjmuje oznaki ich poddania się, nie spuszczając jednak z oka ani na chwilę jedną swego okupacyjnego zadania. Dzięki temu postępowaniu, Francya czuje się obecnie pewniejszą w Marokku, niż nią była do wybuchu wojny. Na całym terenie dotychczasowych walk utworzono kilkanaśnie obronnych okopów, w rodzaju małych twierdz ziemnych, w których pozostawione oddziały czuwają nad spokojem okolicy. Pozostają one z sobą w ciągłym kontakcie, tworząc w ten sposób jakby jeden łańcuch obronny przeciw niespodziewanym napadom.

Najbardziej przeszkadza zupełnemu uspokojeniu kraju pretendent do sułtanatu marokkańskiego, Mulej Hafid, ale i ten obecnie wobec pewnej łączności starego sułtana Abdul Azisa z Francyą, coraz mniej okazuje wojowniczości.

Załączona rycina przedstawia naradę sułtana Abdul Azisa z posłem francuskim.



25 lecie Muzeum Narodowego. Namiot turecki, zdobyty przez wojska polskie pod Wiedniem.

Psy na usługach policyi.

Spryt i wrodzona inteligencya, jaką obdarzone są psy, wprowadziła policyę na myśl, aby tych zwierząt po odpowiedniem wytresowaniu, użyć do tropienia zbrodniarzy. Myśl tę wprowadziła w czyn naprzód policya paryska, a próby poczynione w tym kierunku tak wspaniale wypadły, że dziś w wielu miastach europejskich są osobne oddziały policyi, zajmujące się tresurą psów do tegu celu.

I kiedy spełnioną zostanie jaka zbrodnia, gdy nawet sprytni ajenci nie mogą wpaść na domysł, kto jest sprawcą i winowajcą, wówczas przyzywa się pomocy psów. Sprytne zwierzęta obwąchują ofiarę a potem rozbiegają się, idąc za swym węchem na wszystkie strony w poszukiwaniu za zbrodniarzem.

Usługi psów policyjnych nie ograniczają się jednak na tropieniu morderców i innych zbrodniarzy. One pomagają żołnierzom policyjnym i ajentom chwytać winowajców. Ujrzawszy poszukiwanego rzezimieszka, rzucają się nań z zaciekłością i zajadłością i szamocą się z nim tak długo, aż nadbiegną ajenci i założą mu kajdanki. Wobec siły i zażartości psów policyjnych są zbrodniarze prawie bezsilni i wprost bezbronni.

Nic dziwnego też, że dowcipny pomysł policyi używania psów do swych celów, rzucił postrach między szeregi apaszów paryskich i londyńskich rzezimieszków i przejął ich umysły nienawiścią ku czworonożnym sprzymierzeńcom sprawiedliwości.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy cały szereg zdjęć, przedstawiających wytresowane psy w czasie „służby“ i wypełniania swych trudnych obowiązków.



25 lecie Muzeum Narodowego: Sala z pamiątkami po Mickiewiczu i Kościuszce. Aparatem red. W. Lib.

Złoty cielec.

Powieść wysnuta z aktów kryminalnych.

F. Łęcki.

5 (Ciąg dalszy).

Służący myślał, że to jaki żebrak natrętny, jaki włóczęga, ale stanowczość i pewność siebie u tego ciekawego człowieka, zbiły go z tropu. A nuż to jaki dziwak? I to się zdarza, iż wielcy panowie z dziwactwa tak się ubierają.

— A więc proszę o nazwisko, jak mam oświadczyć?

— Kapitan Murle. Sprawa pilna, widzieć się muszę natychmiast.

Służący wzruszył ramionami, bo takiego kapitana jeszcze nigdy nie widział i wyobrazić sobie nie mógł, ale wszedł do pracowni bankiera, aby natrętnego gościa zameldować.

— Niech wejdzie — rozkazał Snovard.

Służący wpuścił natręta, a ten z całą swobodą wszedł, jakby najpoufalszym był przyjacielem Snovarda i na progu, od niechcenia, rzekł obojętne, zdawkowe:

— Dzień dobry!

Były kapral gwardyi króla pruskiego odszedł zdumiony. Snovard spojrzał na przybyłego obojętnie, wyprostowany stał przy biurku i czekał, co powie. Upłynęła chwila, Snovard był zimny, posągowy, a obdartus mierzył go wzrokiem od stóp do głowy. Wreszcie, jakby zniecierpliwiony, odezwał się ironicznie:

— Cóż to mister Ralf Tobiasz Jefferson Snovard, nie poznajesz mnie?

— I owszem, poznaję, chociaż tyle lat upłynęło, odkąd pana nie widziałem. Pan nazywasz się John Archer, nieprawda?

— A więc?... — rzekł uśmiechając się obdartus, przyczem pokazał białe, szkliste zęby, właściwe murzynom.

— A więc co? proszę mówić — odpowiedział Snovard lodowato.

— Wiedziałem dobrze, że pan nie zapomni swego przyjaciela. Oto jestem ten sam, zawsze do usług gotowy.

— Odkądże to nazywasz się pan kapitanem Murle?

— A no, odkąd mnie impresario do Europy przywiózł. Jestem w Europie artystą.

— Oho! pewnie w jakim odeonie, czy tinglu, czy jak tam nazywają te głupstwa.

Rozmawiali po angielsku, w narzeczu amerykańskiem. Snovard ani na chwilę nie zmienił zimnego, lodowatego spokoju; był jak z kamienia wykuty.

— Wszystko jedno, gdzie występuję, ale dość na tem, że wszędzie zyskuję oklaski.

— Bardzo mnie to cieszy.

— Naprawdę?

— A, niezawodnie.

— Grywam na mandolinie, na trąbie, na bębnie, na gitarze. Umiem ciekawe, cudowne sztuki z kartami i bez kart. Na afiszach piszą o mnie: „nowoczesny Bosko“.

— I cóż z tego?

— Co? ściągam tłumy publiczności na przedstawienia. Impresario zarobił przezemnie ogromne pieniądze.

— Murzyn bywa ciekawością w Europie.

— Ależ nie jestem wcale murzynem. Proszę mnie nie obrażać. Tylko moja matka była murzynką, a to nic nie znaczy.

— A więc jesteś mulatem. Ale mniejsza o to. Proszę mi powiedzieć, po co tu pan przybyłeś do mnie. Czy chciałbyś mnie naciągnąć? co?

— Naciągać? Ejże panie Snovard, proszę liczyć się ze słowami. Nie jestem żebrakiem — syknął obrażony mulat. Przybywam do pana, jak do przyjaciela.

— Wielki dla mnie zaszczyt.

— Aha! Pan sobie żarty stroi. Pan mnie uważa za włóczęgę, wyzyskiwacza.

— Zgadłeś, mości kapitanie Murle.

— Mój kochany Snovard, przestań też tej komedyi i nie udawaj wobec mnie wielkiego pana.

— Jeżeli ośmielisz się raz jeszcze tak poufale do mnie przemówić, to ci łeb rozwalę — rzekł Snovard zimno, chłodno, bez uniesienia, ale tak dobitnie, że każde słowo było silne, jak pocisk.

Ale i mulat nie uniósł się wcale, jeno z całym spokojem, zaprawionym ironią, czy sarkazmem, odpowiedział, również dobitnie i spokojnie:

— Ależ panie bankierze, zechciej pan nie zapominać, jakeśmy razem, w jednym namiocie sypiali w Kalifornii. Czy wtedy nie nazywałeś mnie panie bankierze swoim najlepszym i jedynym przyjacielem? co? A czy pan bankier raczy sobie przypomnieć, ile to panu przysług wyświadczyłem?

— Zapłaciłem za nie.

— No, tak, po części. Ale zdaje mi się, że ta stara przyjaźń ze mną, ma bodaj taką jeszcze dla pana wartość, abyś mi teraz pomógł po bratersku, gdy mnie bieda prześladuje.

— A więc zgadłem, że chcesz mnie naciągnąć, czyli inaczej powiedziawszy, dostać odemnie pieniędzy.

— A, oczywiście. Ale nie proszę wcale o jałmużnę, o jakieś tam kilka marek.

— O! a możeby panu dać przekaz na bank Rotszylda? co?

— Ej, wolne żarty. Tego nie potrzeba. Daj pan pokój tym żarcikom, mówmy rozsądnie.

Mulat rozsiadł się wygodnie w fotelu, rozglądał po wspaniale urządzonym apartamencie i mówił dalej spokojnie, obojętnie:

— Ho! ho! co za urządzenie! Jakie tu bogactwa? Ależ to książęce przepychy! Zostałeś pan milionerem. O! ja to panu dawno przepowiadałem, bo zawsze miałeś głowę do robienia pieniędzy. A miałeś też więcej jeszcze szczęścia, niż własnego rozumu.

— Dziękuję.

— Niema za co.

— Może skończymy.

— Owszem.

— A więc ile?

— Oho! jeszcze czas. Chciałem o sobie coś powiedzieć, o mojej biedzie, ale niechcę pana nudzić...

— Bardzo słusznie. Wdzięczny jestem za to — rzekł Snovard od niechcenia i zaczął sobie czyścić paznogcie. A możebyśmy już skończyli — dodał niecierpliwie.

— Zaraz, zaraz. Otóż impresario uciekł przed dziesięciu dniami, został mi winien całomiesięczną płacę. Gospodarz, u którego mieszkam, zajął mi kostyumy, narzędzia muzyczne i jestem prawie żebrakiem. Głód mi dokuczać zaczyna, zarobić nie mogę bez kostyumów i mandoliny. Chciałem się zabić.

— Nudzisz mnie mości kapitanie Murle.

— Już mnie korciło dopuścić się gdzieś złodziejstwa.

— Szkoda, żeś tego nie uczynił — rzekł Snovard ziewając — byliby cię może powiesili za to i miałbyś spokój.

— A, z tej beczki pan zaczyna? — zawołał mulat — to i ja też zacznę inaczej. Otóż mości panie wielki bankierze, milionerze, królu giełdy, rozdawco skarbów, wiem, żeby ci to było na rękę, abym przepadł bez wieści.

— Nie tak głośno obdartusie, bo ja tego nie lubię.

— Aha! Nie lubisz, o wiem, bo się boisz. Ty wiesz dobrze o tem, że ja mógłbym coś powiedzieć o twoich milionach...

— Głupcze! Czyż ty myślisz, że się ciebie ulęknę?

— A gdybym tak opowiedział, gdzie i w czem ręce maczałeś? co? Skoro cię w Ameryce nie zamknęli, lub nie zatłukli, skoro ci uszły wszelkie... spekulacye, to chciałbyś tu udawać wielkiego pana, uczciwego człowieka. Nie boisz się mnie, powiadasz, ale nie byłoby ci to chyba przyjemne, gdyby świat się dowiedział, czem byłeś w Ameryce.

Snovard uśmiechnął się, dziwnie się uśmiechnął, aż obdartus zerwał się z fotelu.

— Cóż tobie się zdaje włóczęgo, kapitanie, murzyński bękarcie, że zważałby kto na twe gadanie?

— Mości panie Ralf-Tobiasz Jefferson Snovard, pilnuj języka w gębie, bo możesz tego bardzo pożałować.

— Grozisz? co?

— Grożę i dotrzymam. Podam do dzienników.

— Ha! ha! a gdzież to nauczyłeś się pisać i kiedy? Twoje palce umiały się zginać do podawania talerzy, do brania łapówek i do... chwytania, co pod rękę wpadło.

— Z czego ty korzystałeś wielki bankierze?

— Milcz!

— Kiedy mi się nie chce.

— Każę cię uwięzić, jako włóczęgę, złodzieja i odstawić do Ameryki.

— I owszem, ale wpierw dzienniki dowiedzą się, kto to jest ten wielki pan Snovard. Mam takich, co napiszą.

— Za te zuchwalstwa, powinienbym cię za drzwi wyrzucić, ale mam wzgląd na twoją głupotę, i radbym ci pomódz. Ale skoro ci dam pieniądze, to je przepijesz.

— O! co to, to nie. Daję na to słowo honoru.

— Ha! ha! udało ci się; wyborny dowcip; warto za niego zapłacić.

Snovard wstał, poszedł od niechcenia do kasy i z paczki banknotów wyjmował po jednym i rzucał na dywan.

— Raz... dwa... trzy — policzył i kasę zamknął.

Mulat rzucił się chciwie na dywan i podnosił banknoty.

— Tylko tyle? Trzysta marek?

— Wystarczy na powrót do Ameryki. A teraz idź do dyabła i nie nachodź mnie nigdy, bo cię zamknąć każę.

Mulat stał z otwartemi ustami, chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Snovard zawołał:

— Idźże raz do dyabła, bo niemam czasu.

— Moje uszanowanie panie Snovard. Dziękuję, dowidzenia.

Wyszedł, i jakoś przez pomyłkę skręcił w bok kurytarza, gdzie były żelazne, kręcone wschody.

— Przepraszam pana, nie tędy — odezwał się służący.

Mulat przybrał postawę pańską, gwizdał jakąś aryjkę i od niechcenia zapytał:

— A cóż to za wschody?

— Do suteren.

— A, jakże się pomyliłem.

Były kapral gwardyi króla pruskiego powziął jakiś respekt dla mulata. Musi to być wielki pan, ale dziwak. Jużci zwykłego obdartusa byłby pan Snovard nie zatrzymywał u siebie tak długo. Tak sobie pomyślał były kapral gwardyi króla pruskiego i rad był przypatrzyć się oryginalnemu panu, co obdartusa udaje, dlatego wdał się w rozmowę.

— Bo to proszę pana, dawniej była tu restauracya, więc te wschody wiodły do kuchni, a teraz oddzielono je murem od suteren.

— A na co ten mur? Czyż dawna kuchnia restauracyjna nie należy do ubikacyi przez pana Snovarda najętych?

— Nie. Tam jest teraz magazyn papieru, należący do handlu, do którego wchodzi się z ulicy.

— A, tak... a... — mruczał od niechcenia mulat i rozpatrywał się dokoła.

Kiwnął głową służącemu i skręcił ku wyjściu.

— Hm! hm! — mówił do siebie. Kancelarya Snovarda i kasa znajdują się na samym końcu piętra; pod nią ów magazyn, a pod magazynem dawna kuchnia! Hm!...

Snovard, po wyjściu mulata, stał chwilę lekko zamyślony, potem zadzwonił.

Wszedł były kapral gwardyi króla pruskiego.

— Odchodzę.

Służący podał zarzutkę, pomógł ją włożyć i zapytał służbiście:

— Czy pana kapitana mam zawsze wpuszczać?

— Kapitana? a... tego... tego, co teraz? to natrętny włóczęga. Wynudził mnie tak długo opowiadaniem swoich awantur. Jeżeli tu jeszcze przyjdzie, to go zaraz za drzwi wyrzucić.

— Rozumiem.

Tak powiedział, ale właściwie nic nie rozumiał. Jak mógł obszarpaniec przybierać tytuł kapitana? Jeżeli to był natrętny włóczęga, czemu go Snovard natychmiast wyrzucić nie kazał? Czy tak, czy owak, były kapral gwardyi niezadowolony był z siebie, z pomyłki, z tej grzeczności, którą wychodzącemu mulatowi okazywał. Poprzysiągł sobie zemścić się nad tym zagadkowym człowiekiem, skoro się tu jeszcze zjawi.

Snovard siadł do powozu, który na niego przed domem już czekał i wyjechał z wizytami, poczem, miał przybyć na herbatę do barona.

Mulat przechadzał się tymczasem po ulicy i przypatrywał bacznie domowi, w którym była dawniej „Excelsior-Restaurant“. Nietyle zajmowało go piętro, na którem mieścił się bank Snovarda, ile parter, wypełniony sklepami, okna piwniczne i brama wchodowa. Ale wiatr zadął północny, powiew wczesnej zimy wciskał się w wąwozy ulic. Mulat zatrząsł się od zimna, zacisnął kołnierz od surduta na gołej szyi i popędził w zaułki miasta. W dalekiej, ciasnej uliczce zatrzymał się przed starą, ponurą kamieniczką, wszedł do sieni, a stamtąd do szynku, który był w suterenach.

Za bufetem siedziała brzydka, opasła kobieta

— Dzień dobry pani Bülow. Oho! pani się nudzi, niema jeszcze gości?

— Będzie ich tu dosyć, nie bój się o mnie. Bywają tu lepsi, niż...

— Niż ja? co? O! nie trzeba sądzić z pozoru, bo można się pomylić. Wkrótce przekona się pani o tem. Aha! Nie przyszedł jeszcze Wiluś?

— Tam — mruknęła, i wskazała palcem na drzwi, do drugiego lokalu wiodące.

Mulat otworzył je prędko i przywitał się wesoło z owym Wilusiem. Był to chłopak zasierdzisty, silnie zbudowany, lat dwudziestu kilku.

— No kapitanie, jakże tam? — pytał Wiluś.

Mulat nie odpowiedział zaraz, tylko łyknął kminkówki, która była we flaszce na stole i ocierając sobie usta, rzekł spokojnie:

— All right! Mam nadzieję, że gładko się uda. Dla tak dobrego ślusarza, jak ty, robota nie będzie ciężka.

Potem zaczęli szeptać i szeptali długo.

VII.

Snovard zajechał przed pałac barona z uderzeniem godziny, na którą był zaproszony. Baronowi wydało się to nie bardzo dystyngowane, chociaż prawdę powiedziawszy bardzo było rozumne. Zaprosił gościa do swego gabinetu, podał papierosy i z odcieniem protekcyonalnej poufałości zabawiał milionera. Chciał mu imponować, a zarazem zjednywać. Snovard zimny był, jednostajny, jak zwykle; ani wyniosłości barona nie widział, ani poufałości nie odczuwał. To barona drażniło, po części pewność siebie mu odbierało. Zaczął mówić o sprawach finansowych, jakby dla pokazania, że bankiera przyjmuje, a nie człowieka ze swego towarzystwa. Zdawało mu się, te tem rozbudzi Snovarda i ugnie.

— Mówiono mi, że pan, panie Snovard, zawiązuje towarzystwo akcyjne, dla urządzenia rzecznej żeglugi. Mógłbym panu użyczyć w tem poparcia, mając głos decydujący w radzie nadzorczej banku pruskiego.

— Bardzo dziękuję — rzekł Snovard chłodno, od niechcenia.

— Wiadomo panu dobrze, iż w takich sprawach nie wystarczy nawet taka firma, jak pańska, jeżeli jej minister skarbu nie poprze. No, a co do tego, to możesz pan liczyć na...

Baron urwał, zostawiając resztę domysłowi Snovarda, ale bankier miał taką minę, jakby się niczego domyśleć nie umiał, czy nie chciał. Barona to drażniło, wysilał się na obojętność, na uśmiech, rzucał półsłówkami, sylabami, ale Snovard milczał, i patrząc na barona, wyczekiwał czegoś wyraźniejszego. Był to pojedynek dwóch sił. Z jednej strony urok arystokratycznego nazwiska, stosunków i wpływów towarzyskich, z drugiej strony brutalna potęga finansowa. Baron chciał okazać Snovardowi, że nazwisko i stosunki towarzyskie są potęgą, z którą nawet miliony liczyć się muszą, ale na Snovarda nie wywierało to żadnego wrażenia. Rycerski miecz średniowieczny szczerbił się na złotym pancerzu milionera. Baron musiał kapitulować i mówić wyraźniej.

— Jeżeli przystąpię do towarzystwa akcyjnego ze znacznym udziałem, to zyskasz pan niezawodnie poparcie ministra.

— A, nie przeczę, że nazwisko pańskie i stosunki będą dla mnie cenne, jednak trudno mi liczyć na udział pańskiego kapitału.

— Pan sądzi, że może...

— Sądzę, że pan baron nie dysponuje kapitałem — rzekł Snovard obojętnie i rzucił dopalonego papierosa do popielniczki.

— Muszę mniemanie pańskie sprostować. Wprawdzie uwięziłem znaczny kapitał w różnych przedsiębiorstwach, ale go nie straciłem.

— Te przedsiębiorstwa zachwiane i runą niedługo, o czem pan wiedzieć musi, panie baronie— mówił Snovard tak obojętnie, jakby o pogodzie dnia wczorajszego i od niechcenia zapalił świeżego papierosa.

Baron zmięszał się cokolwiek, zaniepokoił, ale wysiłkiem woli opanował i z wymuszonym uśmiechem powiedział:

— Nie myślałeś pan w tej chwili o moich dobrach Berghausen i o posiadłościach w Berlinie?

— Przedstawiają wartość bardzo małą.

— Kto to powiedział? — rzekł niecierpliwie baron.

— Wyciąg z hipoteki — odpowiedział bankier z lodowatym spokojem.

— Ależ informacye pańskie są mylne.

— Nie sądzę, aby akta urzędowe sfałszowano. Mówmy otwarcie. Stanowisko pańskie, tradycya imienia, stosunki towarzyskie są kapitałem znacznym i bardzo użytecznym, jeżeli się z nim połączy kapitał pieniężny. Bez tego połączenia czeka pana zupełna ruina majątkowa.

— Panie Snovard!... to pesymistyczne uprzedzenie... nie wiem właściwie, co pana skłania do takiej... otwartości, zbyt może... szczerej.

— Interes, panie baronie.

— Interes?...

— Tak.

— Ależ jaki?



Mulat rozsiadł się wygodnie w fotelu.

— Mam na myśli połączenie obu kapitałów.

— Jak to pan pojmuje panie Snovard?

— Całą świetność pańskiego nazwiska i tytułu baronowskiego, zasypie ruina majątkowa. Szkoda byłoby takiego kapitału; ja go chcę ocalić i oprzeć o mój kapitał finansowy. Czy może pan sądzi, że moje nazwisko nie zasługuje na złączenie się z pańskiem?

Baron zakłopotał się, dorozumiewał do czego bankier zmierza; zrazić go nie chciał, nie mógł, boć sam pragnął go pociągać, zbliżać, a tu z dna duszy dobywały się głośne echa rodowej ambicyi. Chwila była dla niego piekielna.

— W dzisiejszym wieku nie może być mowy o rodowych przesądach — powiedział wreszcie baron, a każde słowo go dławiło.

— A więc proszę o rękę pańskiej córki.

Chociaż baron tego pragnął, przecież w tej chwili zdawało mu się potwornem. Zerwał się z krzesła, cofnął wstecz i nie mógł na razie mówić.

— Czekam odpowiedzi panie baronie — odezwał się bankier dobitnie, powstawszy spokojnie z miejsca.

Baron zebrał siły i zapytał:

— Czy pan mówił o tem z moją córką?

— Bez pańskiego zezwolenia mówić o tem nie mogłem.

— A, słusznie, tak, istotnie.

— Czy pan pozwala?

— No, tak, oczywiście. Elwira jest pełnoletnią, ma prawo rozporządzać sobą, ale proszę pamiętać, że gdyby wiedziała o stosunkach majątkowych, byłoby dla niej upokarzające...

— Gdyby wiedziała, że czyni ofiarę z siebie, aby ocalić majątek ojca i braci. Tak, ale tego wiedzieć nie potrzebuje. Czy pan sądzi, że w inny sposób nie zdołam pozyskać sobie jej wzajemności?

— Nie przeczę, byłoby mi to bardzo przyjemnie, gdyby jej serce...

— Serce? A, panie baronie, pan widać nie zna swojej córki.

— Jakto?

— Panna Elwira jest osobą tak rozsądną, że sentymenty erotyczne pozostawia poezyi i książkowym romansom. To osoba pojmująca życie trzeźwo, zupełnie trzeźwo. Chce być zadowoloną z życia, a zadowolenie daje poczucie siły, znaczenia. Siłą kobiety jest urok, jaki wywiera, a na to potrzeba brylantów, strojów, środków na reprezentacyę. Nie jestem już w kwiecie wieku, ale też nie uwiądłem jeszcze i pochlebiam sobie, że odrazy nie budzę, że małżeństwem ani siebie, ani córki pańskiej nie ośmieszę.

— Ależ o tem niema mowy, tylko zdaje mi się, że może należałoby zwolna zyskiwać wzajemność mej córki, nagłem wystąpieniem nie spłoszyć, nie zrazić.

— I co do tego jestem pewien, że panna Elwira niema przesądów, że poetyckie gruchania, jak za czasów trubadurów, byłoby dla niej, jeżeli nie śmieszne, to nudne. Panna Elwira zrozumie dobrze, że my oboje wzajem się potrzebujemy; jej potrzeba dużego majątku, mnie zaś żony, któraby umiała nietylko reprezentować znakomicie dom, ale też nawet imponować po królewsku Utworzymy salony, jakich Berlin nie widział; królewskie rodziny będą się na nich zjawiały. Starożytne nazwisko mej żony, jej rodowe stosunki. jej wspaniała, urocza postawa, połączone z moimi milionami, stworzą ognisko towarzyskie prawdziwie imponujące. A to potrzebne do moich planów, do wykonania pomysłów, które świat zadziwią. Niech pan będzie spokojny, kochany baronie, już ja zdołam porozumieć się z panną Elwirą.

— Dobrze, zezwalam — miło mi będzie... — mówił baron, jąkając się cokolwiek, bo duszę mu wiercił głos świdrujący: „Sprzedajesz córkę“. Ale uśmiechnął się, nadrabiał miną, obliczał korzyści, pocieszał się ocaleniem fortuny przed ruiną.

Służący poprosił do herbaty.

Weszli do sali jadalnej, gdzie już czekała Elwira i Gwido. Oboje pochmurni byli, sztywni, obojętni. Baron przeraził się, zagadywał, udawał wesołego, a bodaj swobodnego.

Przy stole nie kleiła się rozmowa. Gwido spoglądał często na zegarek, Elwira, rzucała niezbędne tylko półsłówka, sam jeno baron podtrzymywał rozmowę, a czynił to z największym wysiłkiem. Podejrzywał, że Elwira nie zgodzi się oddać ręki Snovardowi, że obrażony bankier zniszczy ich, zdepce.

Snovard był zawsze ten sam, obojętny, spokojny, jakby nie widział ani złego humoru córki i syna, ani wysileń ojca. Rozmawiał z baronem z całą swobodą, po części pomijał Elwirę, na Gwida nawet nie patrzył. Na szczęście skończyła się kolacya i baron odetchnął.

— Możebyś co zagrała Elwiro — rzekł baron z naciskiem. Dawno już nie słyszałem fortepianu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kandydaci namiestnikowscy.

Na porządku dziennym stanęła dziś jako najważniejsze zagadnienie polityczne, sprawa obsadzenia opróżnionego przez przedwczesną śmierć hr. Potockiego fotelu namiestnikowskiego. O ile stanowisko kierownika kraju naszego należało zawsze do bardzo trudnych i bardzo odpowiedzialnych, o tyle w obecnej sytuacyi politycznej i po strasznym wypadku będzie ono zgoła nie do pozazdroszczenia. Nie dziw też, że tak trudno wybrać męża, któryby miał warunki po temu i któryby chciał wziąć na swe ramiona ten ciężar ogromny.

Wśród powodzi nazwisk, jakie opinia publiczna wysunęła z okazyi spodziewanej nominacyi, najwięcej szans przedstawiają następujący kandydaci: marszałek kraju St. hr. Badeni, gubernator Banku austro-węg. dr. Leon Biliński, b. wiceprezydent rady szkolnej krajowej Michał Bobrzyński, b. minister spraw zagranicznych Agenor hr. Gołuchowski, minister skarbu dr. Witold Korytowski i szef sekcyi w ministeryum rolnictwa Wacław Zaleski.

Kandydaci namiestnikowscy.



Hr. Stanisław Badeni. Dr. Michał Bobrzyński. Hr. Agenor Gołuchowski. Dr. Witold Korytowski. Dr. Wacław Zaleski. Dr. Leon Biliński.

Trudne stanowisko.

Stanowisko lwowskiego metropolity grecko-katolickiego, ks. arcybiskupa Andrzeja hr. Szeptyckiego, jest dziś bardzo ciężkie i bardzo trudne. Polak z pochodzenia, wyrzekłszy się swej narodowości dla karyery, przez szereg lat tolerował hajdamacką politykę swych owieczek, nie przewidując zapewe, do jakich rezultatów, do jakich strasznych następstw polityka taka doprowadzić musiała. A jednak umysły zrównoważone i umiejące w przyszłość patrzeć, następstw takich się spodziewały. Nie brakło też ze strony polskiej ostrzeżeń, z któremi zwracano się wprost do ks. metropolity, jako do głowy kościoła gracko katolickiego w Galicyi, zwracano się tem bardziej, że prym w orgiach antipolskich wiodła przeważna część duchowieństwa ruskiego. Ostrzeżenia te jednak były bezskuteczne.

Dziś patrzy ks. metropolita z szczerym niewątpliwie żalem w swą przeszłość, a z zwątpieniem w przyszłość. Wieść o strasznym mordzie, którym splamił się jeden z Ukraińców, syn księdza ruskiego, doszła go w jednem z miejsc kąpielowych zagranicznych i wywarła nań przygnębiające wrażenie, któremu wyraz dał w depeszy kondolencyjnej do wdowy po śp. namiestniku.

Nie pozbawioną też podstaw wydaje się wiadomość, nadeszła ze Lwowa, iż ks. metropolita, uznawszy, że ręka jego jest za słabą, by mogła powstrzymać szalejącą burzę hajdamaczyzny, nosi się z zamiarem złożenia swej godności i spędzenia reszty życia w klasztorze OO. Bazylianów.



Trudne stanowisko: Metropolita grecko-katol. we Lwowie, ks. arcybiskup Andrzej hr. Szeptycki.

Francuska wyprawa arktyczna.

W przeciwieństwie do wszystkich dotychczasowych wypraw do bieguna północnego, które miały za zadanie tylko badania naukowe, wyruszyła niedawno z Francyi ekspedycya do mórz arktycznych, w celach jednak tylko praktycznych, a mianowicie wyszukania nowych miejsc dla rybołóstwa i zbadania brzegów pod względem kopalnianym.

Za główne miejsce poszukiwań obrano morze Karskie w pobliżu brzegów wyspy Nowaja Zemla. Ta wyspa lodowa, licząca przeszło tysiąc kilometrów długości przy stu pięćdziesięciu kilometrach szerokości, jest oddzieloną od lądu stałego tylko cieśniną Karską, która w przeciągu jedenastu miesięcy w roku jest stale zabitą lodami; zdarza się nawet nieraz przy tamtejszych szalonych mrozach, dochodzących do pięćdziesięciu stopni, iż przez kilka lat z rzędu lody wcale z niej nie odpływają.

Właśnie na tej wyspie „Nowaja Zemla“ znajdowali podróżnicy odłamki węgla, miedzi i żelaza, a nawet spostrzegano u mieszkających tam Samojedów kawałki miękkiego złota. Ponieważ zaś na Grenlandyi dobywa się aluminium, węgiel na Spitzbergu, a złoto w Alasce, bardzo więc prawdopodobnem jest, że i na Nowej Zemli znajdują się podziemne bogactwa.

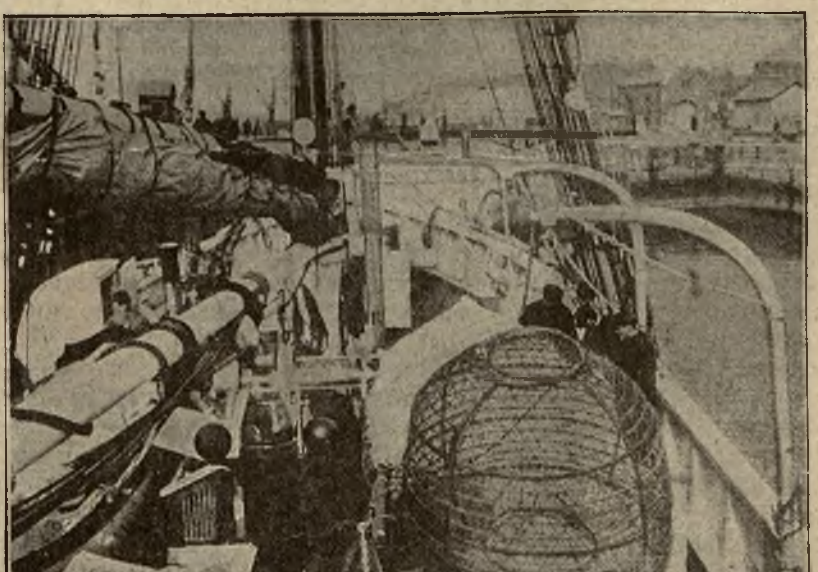
Dla zbadania właśnie tych stron, towarzystwo oceanograficzne zatoki gaskońskiej wspólnie z francuską ligą morską wysłało specyalną ekspedycyę na statku umyślnie na ten cel zbudowanym, *Jacques Cartier*, tak nazywającym się od pierwszego francuskiego badacza arktycznego. Załoga cała składa się zaledwie z dwudziestu kilku ludzi, których większa część spędziła już poprzednio lat kilka w strefach północnych. Czas trwania ekspedycyi obliczono na dwa lata, w początkach zaś lata *Jacques Cartier* winien już przybyć na miejsce.

Siostra mordercy.

Kilka dzienników lwowskich podało w ostatnich dniach bardzo wiele szczegółów o rodzinie mordercy śp. namiestnika hr. Potockiego. Rodzina ta pochodzi ze wschodniej Galicyi. Ojciec był probo-



Francuska wyprawa arktyczna: Załoga statku »Jacques Cartier«.



Francuska wyprawa arktyczna: Pokład statku »Jacques Cartier«

szczem grecko-katolickim we wsi Stopczatowie; duszpasterstwem zajmował się jednak nie wiele, natomiast wspólnie z małżonką Oleną prowadził agitacyę polityczną, której naczelnem hasłem była nienawiść do polskości. Nienawiść tę wpajali rodzice także w umysły ośmiorga swych dzieci.

Nic dziwnego też, że w takiej atmosferze wyrosły wyrodki w rodzaju Mirosława Siczyńskiego, lub jego sióstr, które mogą chlubić się i szczycić bezecnym czynem brata. Z sióstr tych najstarszą jest Irena, obecnie nauczycielka we Lwowie. Razem z dwiema innemi siostrami, Ahafią i Emilią, została ona następnego dnia po zamachu aresztowaną, ponieważ przypuszczano, że siostry też wiedziały o zamiarach Mirosława Siczyńskiego, a nawet, że go do strasznej zbrodni podmawiały. Po kilku dniach pobytu w areszcie śledczym, zostały one wypuszczone na wolność.

Kronika tygodniowa.

(Po śmierci namiestnika. — Telegram i pismo odręczne cesarza. — Pismo dziękczynne hr. Andrzejowej Potockiej. — Święta wielkanocne. — Na krakowskim dworcu. — Miła jazda koleją. — Powrót do Krakowa i tolerancya akcyzy).

Zaraz po śmierci tragicznej namiestnika Galicyi, śp. Andrzeja hr. Potockiego, otrzymała wdowa po nim od cesarza telegram kondolencyjny, w którym cesarz wyraził swoje głębokie wzruszenie z powodu zamordowania „znakomitego urzędnika i męża stanu“. Telegram ów pośród okoliczności, w których nastąpiła śmierć namiestnika, a nie mniej ze względu na jego stanowisko polityczne i społeczne, był zwyczajnym aktem monarszym, nie wychodzącym wcale poza granice, zwyczajami dworskimi zakreślone.

Minęły zaledwie cztery dni. Społeczeństwo polskie ze zgrozą spoglądało w otchłań terroryzmu politycznego, nienawiści narodowej i społecznej, moralnego cynizmu i negacyi wszelkiej kultury... Posłowie ruscy, wybrańcy narodu, odsłonili całą nagość hajdamackiej duszy, młodzież akademicka poszła za nimi, a właściwie uprzedziła ich, prasa ruska z wyjątkiem moskalofilskiej — co za ironia! — święciła orgie polakożerstwa, a co się działo w ostępach ruskiej kniei politycznej, tego sobie żaden Polak nie zdoła wyobrazić. A tymczasem już nazajutrz po dokonanej zbrodni okazało się, że ten namiestnik, zamordowany przez Rusina, uczynił już wiele dla Rusinów i miał zamiar jeszcze więcej dla nich uczynić.

I oto nastąpił po tem wszystkiem fakt niezwykły. Cesarz powtórnie zwrócił się do wdowy po śp. namiestniku i wysłał do niej pismo odręczne, w którem jest mowa nietylko o zmarłym, ale także o narodzie polskim. „Najczcigodniejsza Hrabino! — brzmi pismo odręczne cesarza. Nie mogę pozwolić, ażeby pierwszy dzień, w którym małżonek Pani został złożony na wieczny spoczynek, minął bez powiedzenia Pani raz jeszcze, jak żywy biorę udział w twardym losie Pani, we wspólnem uczuciu straty, która równie Panią, jak i mnie dotknęła. Nie znam prawie żadnej pociechy dla strasznej boleści Pani, prócz chyba powszechnej żałoby za tym szlachetnym synem narodu polskiego, tak mojemu sercu bliskiego, tudzież pewności, że imię Jego przez ofiarne oddanie się dobru publicznemu będzie nadal żyło w pamięci. Zachowam zmarłego, który, ugodzony ręką zbrodniczą, jeszcze w obliczu śmierci mnie o swojej wierności zapewniał, na zawsze we wdzięcznej pamięci“.

Nie uprawiam polityki dworskiej i wierzę przedewszystkiem w narodową samopomoc, ale w tym wypadku, odręczne pismo cesarza ma wielką doniosłość wobec tych wszystkich szkalowań, które padły na cały naród nasz i na pamięć zgasłego namiestnika. Wszystkie krzyki sztuczne o rzekomem uciskaniu Rusinów przez Polaków odniosły odwrotny skutek.

A wspomnieć należy także o piśmie dziękczynnem Andrzejowej hr. Potockiej, ogłoszonem w pismach polskich. Hr. Potocka dziękuje wszystkim za wszystkie objawy współczucia z powodu śmierci jej małżonka, tudzież za oddanie mu ostatniej posługi, a podziękowanie swoje kończy następującym zwrotem: „Myślą i dążeniem życia zmarłego była łączność w trudzie, dźwigającym ojczyznę, i łączność w miłości chrześcijańskiej, która trud ten wspomaga i osładza. Pragnąc tego najgoręcej, dążył do zbliżenia w duchu prawdy, wspólnej dla kraju pracy i zasługi, dwóch zamieszkujących kraj ten narodowości. Oby Bóg w miłosierdziu swem dał nam wszystkim tę pociechę, by krew, niewinnie przelana, użyźniła grunt ojczyzny ku zgodzie i lepszej przyszłości“.

Tak mówi pani polska w majestacie żałoby... Jaka będzie odpowiedź z tamtej strony? Czekamy na nią.

* * *

Umieszczam te trzy gwiazdki, ażeby zaznaczyć że to co napisałem, jest osobnym rozdziałem niniejszej kroniki. A teraz przechodzę do rzeczy potocznych. Pogoda podczas świąt nieszczególnie nam dopisała. W niedzielę przed południem już deszcz padał. Pewien bardzo poważny obywatel krakowski, posiadający parasol, któryby mógł być parcelą budowlaną, rzekł do mnie na plantach:

— Każda „pluta“ przychodzi z Galicyi. U nas w Krakowie nie byłoby ani wylewów, ani słoty, gdyby nie Galicya. A jakże.

— A wie dobrodziej, że to wspaniałe odkrycie! — zawołałem z podziwem.

— W książkach oczywiście tego niema, ale niech pan tylko popatrzy, skąd idą chmury, to się pan przekona, że je wiatr zawsze niesie z Galicyi — dodał z całą rzetelnością przekonania.

— A jakże tam święta? — zapytałem. Zdaje mi się, że tradycya dawnego święconego krakowskiego minęła bezpowrotnie.

— No juści Wierzynków niema już między nami, ale żeby tam na stole nie było szynki i głowizny i co nieco słodkiego, tobym zełgał.

A potem przybliżył się do mnie i spojrzał z pod krzaków brwi, któremi niezgorzej możnaby otoczyć gazon, niby żywopłotem. Patrzał na mnie długo, a potem rzekł:

— Pod „Baranami“ cicho i pusto. A przecież tam było tradycyjne święcone. Hej — słyszałem o tem wiele, a dzisiaj.

Podniósł sękatą laskę, ale czemprędzej ją opuścił.

— Niema co gadać. Jeżeli Bóg tak zrządził, to się wszystko na dobre obróci.

Pożegnał mnie i poszedł do Panny Maryi. Udałem się powoli na dworzec kolei, ażeby wyjechać do pobliskiego miasta na pierwszy dzień świąt. Zegar umieszczony w sieni dworca, zwanej szumnie westybulem, wskazywał godzinę, niezgodną o dziesięć minut z godziną mojego zegarka. Ano — chyba czas kolejowy musi być autentyczny na zegarze kolejowym. Reguluję tedy mój zegarek, poczem idę po bilet jazdy. Na dworcu krakowskim istnieją cztery kasy dla sprzedaży biletów trzeciej klasy, dlatego więc — o logiko! — były tylko dwie otwarte, chociaż tłumy publiczności cisnęły się do okienek. Po długich opresyach zdobyłem bilet, przyczem złamano mi rączkę od parasola, urwano klapę od kieszeni paltota i wymasowano obcasami nagniotki. Portmonetki nie skradziono mi, co uważam za szczególną łaskę Boga.

Ulokowawszy bilet w kieszeni, udałem się do poczekalni. Spoglądam na zegar, wiszący ponad lustrem, i porównuję znowu czas, przez niego wskazany, z czasem mojego zegarka. Różnica 8 minut. Choruję czasami na systematyczność. Wychodzę do sieni i patrzę na zegar kolejowy. Stwierdziłem, że zegar w poczekalni nie zgadza się z zegarem w sieni. Zapytuję o to starego służącego kolejowego.

— One ta nie chodzą razem nigdy — odpowiedział z taką miną, jak gdyby mnie uważał za faceta, który żąda szybki z okna, albo też wraca z piętnastego conajmniej święconego.

Pomyślałem sobie, że te dwa zegary kolejowe tworzą trójcę z zegarem ratuszowym. Wprawdzie zegary kolejowe powinny zgadzać się z sobą i podawać dokładny czas, ale przecież jesteśmy na krakowskim dworcu kolei północnej. Byłoby to wbrew tradycyi, gdyby przynajmniej zegary znajdowały się w porządku. Wychodzę wreszcie na peron, ażeby się dostać do pociągu kolei państwowej. Podróżni tłoczą się do wagonów, ale wagony, to nie owe gościnne domki, których ściany rozszerzają się w miarę przybywania gości. Jakaś wielce otyła pani ugrzęzła w sionce pomiędzy studentem i żołnierzem, a ponieważ nowi podróżni napływają z obu końców wagonu, tworzy się żywy zator. Student śmieje się i powiada:

— Per angusta ad augusta.

— Co mnie pan nazywa po imieniu! — oburza się otyła dama, nazywająca się widocznie Augusta. Schowaj „se“ pan dowcipy do szkoły!

— A mniejszą tuszę do wagonu — odcina się student.

Nie wiem, jak się ten zatarg skończył, gdyż wskoczyłem do sąsiedniego wagonu, gdzie wprawdzie nie było otyłej damy, ale kurytarz wypełniali szczelnie podróżni.

— Niech kolej zaprowadzi miejsca siedzące i stojące — woła jakiś jegomość. Płacę za miejsce na ławce, a muszę stać na kurytarzu.

— U nas wszystko przepełnione — zauważył sąsiad, który usiadł na ławeczce konduktora i miał z tego powodu dobry humor. A jakże mój panie. Przepełnione szkoły, urzędy, pomieszkania, kraj cały. I dlatego emigrujemy do Ameryki, albo na „Saksy“.

— Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie babińskie karczmy — rzekł trzeci jegomość, ulokowany za plecami barczystego faceta.

— Proszę o bilety — zawołał konduktor.

Teraz wszyscy runęli na nieszczęsnego konduktora, czyniąc mu wyrzuty z powodu przepełnienia wagonów. Ale konduktor, przyzwyczajony do tego rodzaju scen, jednych pocieszał nadzieją opróżnienia się pociągu na większej stacyi, drugich odsyłał do naczelnika, lub księgi zażaleń, innych zbywał machnięciem ręki, a uporawszy się z dziurkowaniem biletów, zniknął w sąsiednim wagonie, ażeby to samo odegrać „da capo“.

— „Trzydzieści oko“ — odezwało się z zamkniętego przedziału.

— Tam chyba musi być dosyć wolnych miejsc, skoro faceci grają w karty — zawołał jeden ze stojących na kurytarzu.

— W karty można grać na dyszlu, albo na bębnie — odparł ktoś inny.

Pociąg tymczasem mknął od stacyi do stacyi, wyrzucając jednych, a nabierając drugich podróżnych. Odzywały się nowe wymyślania na przepełnienie, oczywiście bez nadziei skutku. To już tak zawsze jest na kolejach galicyjskich. Powiadacie, że to jest źle. Nie przeczę, ale przyznacie, że może być jeszcze gorzej. U nas wszystko możliwe, naturalnie gdy chodzi o gorsze.

Wracając do Krakowa, trafiłem na pociąg, jeszcze więcej przepełniony, o ile to było możliwem. Ale podróżni już nie złorzeczyli tak energicznie ani konduktorowi, ani zarządowi kolei. Wszyscy prawie mieli dobre humory i opowiadali sobie o mile spędzonych świętach. Jakiś biały, okrągły pan, widocznie znawca w sprawach kulinarnych, długi swój wykład zakończył słowami:

— Wędliny są na prowincyi gorsze niż w Krakowie, ale zato ciasta, baby i torty lepsze.

— A trunki? — zapytał go sąsiad.

— Za mało miałem czasu na zbadanie tej kwestyi — odpowiedział biały pan. Odczułem tylko boleśnie brak piwa pilzneńskiego.

Stanęliśmy wreszcie na dworcu w Krakowie. Fala ludzi płynie ku wyjściu, a połowa conajmniej podróżnych niesie rozmaitej wielkości tobołki, zawierające przeróżne smakołyki ze stołu świątecznego. Straż akcyzowa stoi szeregiem, oglądając argusowem okiem „kontrabandę“, przymykając atoli owo argusowe oko, jeżeli „kontrabanda“ nie miała zbyt wielkich rozmiarów.

— To bielizna — mówi jakiś podróżny, pokazując zawiniątko, z którego wyłazi niedyskretnie „krajana“.

— Proszę — odpowiada strażnik, uśmiechając się pod wąsem.

Poczciwy Kraków.

h. j—e.

Od Wydawnictwa.

Do numeru dzisiejszego dołączamy naszym Prenumeratorom numer okazowy tygodnika „Kosmetyka“, wychodzącego pod redakcyą dr. Lustra.

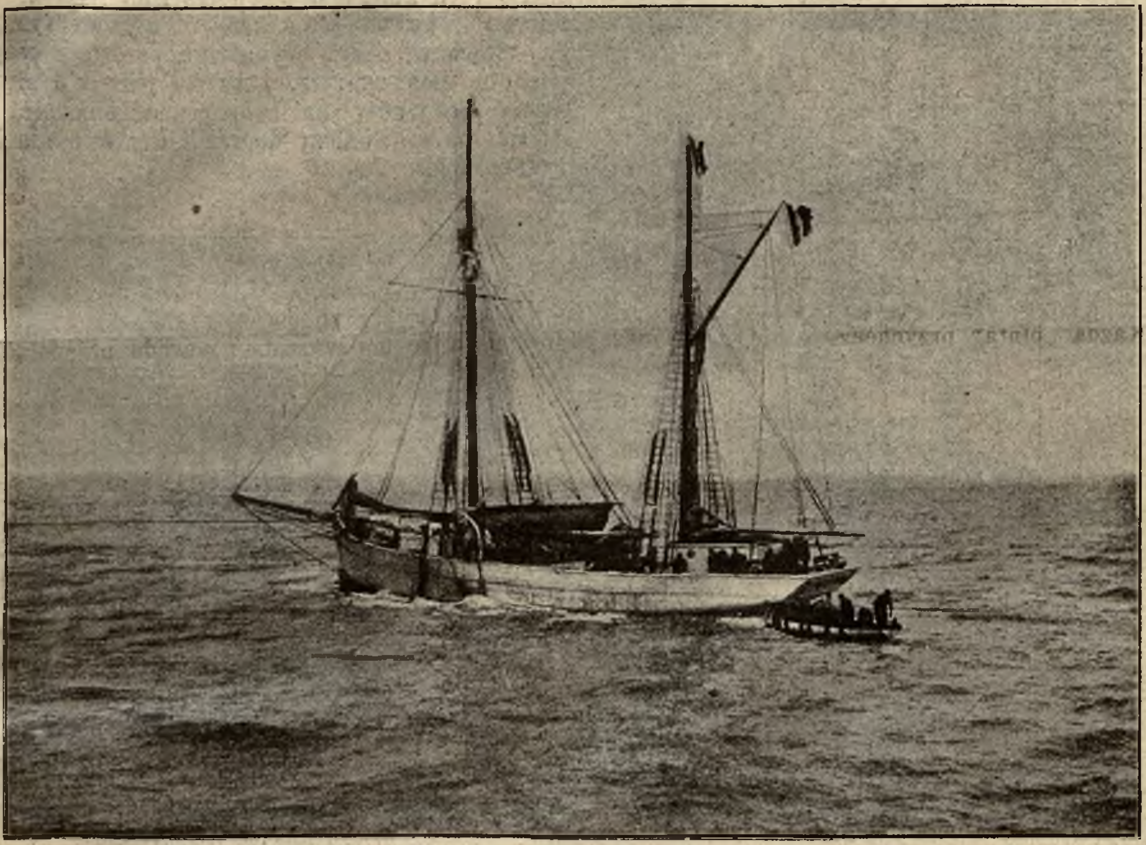


Wielkanoc nad Jordanem.

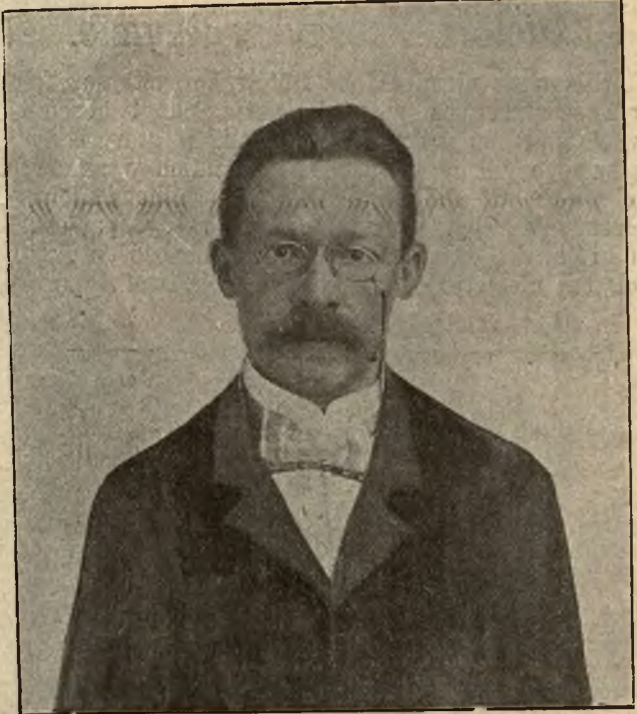
Wśród uroczystych ceremonii i z wielką wiarą obchodzą wierni pamiątkę zmartwychwstania Pańskiego w Ziemi Świętej, dokąd na ten czas w ogromnej liczbie napływają pielgrzymi ze wszystkich zakątków świata.

Znacznego kontyngensu przybyszów dostarcza co rok Rosya, gdzie najsilniej może rozwinięte jest „pałomniczestwo“, to jest pielgrzymowanie do świętych miejsc. Bardzo często można spotkać wśród Rosyan ludzi, którzy nie tylko zwiedzili już wszystkie cudowne klasztory na całym obszarze Rosyi, nie tylko byli na górze Athos, ale odbyli także po kilkakroć pielgrzymkę do Ziemi Świętej, aby obmyć się w wodzie Jordanu. Według wierzenia szerokich mas ludności woda tej rzeki świętej posiada cudowne właściwości, działające uzdrawiająco na dolegliwości ciała, jako też wpływające dodatnio na usposobienie człowieka. Woda też z Jordanu rozchodzi się w masach po Rosyi i przechowywana jest z wielką nabożnością w domach włościańskich.

Rycina nasza przedstawia grupę rosyjskich pielgrzymów, gdy ze świeczkami w rękach modlą się nad brzegami Jordanu, powtarzając modlitwy za swymi duchownymi. Na ziemi widać ustawione mnóstwo naczyń blaszanych, które po napełnieniu wodą z największą starannością zostaną przeniesione do ojczyzny pielgrzymów.



Francuska wyprawa arktyczna: Pomocniczy statek przed wyjazdem.



Aresztowanie mordercy: Dyrektor policyi lwowskiej, radca rządu Wilhelm Schechtel (do art. na str. 7)

25-lecie Muzeum Narodowego.

(Do illustracyj na str. 9 i 10).

Jedno z najwspanialszych i najbogatszych muzeów polskich, prawdziwa ozdoba Krakowa, Muzeum Narodowe, obchodzi w roku bieżącym dwudziestą piątą rocznicę swego założenia.

Powstałe ze skromnych zaczątków, rozwijało się przez ten szereg lat dzięki ofiarności społecznej, zdobywało coraz liczniejsze zabytki dawnej kultury polskiej, wzbogacało się arcydziełami sztuki współczesnej, tak iż obecnie stanowi już prawdziwą skarbnicę pamiątek i płodów ducha polskiego.

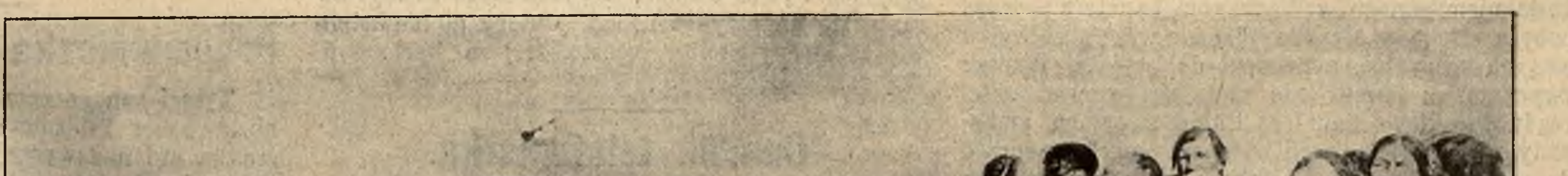
Pierwszą myśl założenia muzeum i pomieszczenia go w Sukiennicach podał w r. 1871 ówczesny prezydent Krakowa, dr. Dietl, który zaproponował, aby na cel ten przeznaczyć sale na pierwszem piętrze gmachu.

Społeczeństwo przyjęło rzuconą myśl i już w roku 1879, gdy odnowienie gmachu było ukończone, znalazł się pierwszy ofiarodawca, wielki nasz malarz. Henryk Siemiradzki, który złożył w darze swe „Świeczniki Nerona“. Przykład piękny znalazł licznych naśladowców, galerya obrazów wzrastała, zwłaszcza przy rocznej dotacyi miasta, pierwotnie w sumie 6000 koron.

W r. 1883 zatwierdzono statut muzeum i otworzono nowy przybytek sztuki. Pierwszym celem, jaki zakreślono muzeum, było utworzenie galeryi narodowej, któraby przedstawiała ciągły rozwój sztuki polskiej, z biegiem jednak czasu tworzyły się nowe działy, zwłaszcza najdroższy każdemu Polakowi dział pamiątek narodowych, mieszczący w sobie całe bogactwo wspomnień po Kościuszce i Mickiewiczu.

Dzisiaj tem Muzeum Narodowem możemy chlubić się przed światem całym, bo jeżeli nie dorównywa ono co do bogactwa i przepychu muzeom zagranicznym, to jednak przewyższa wiele z nich jako całość, jako wykwit ducha jednego narodu. Pod obecnem kierownictwem dr. Feliksa Kopery, który z prawdziwem znawstwem i z wielkiem umiłowaniem pracuje nad podniesieniem do coraz wyższych szczytów tej narodowej instytucyi, nad odpowiedniem rozmieszczeniem zbiorów, nabiera ono coraz nowej i większej wartości.

Oprócz sali z pamiątkami po Kościuszce i Mickiewiczu, najsilniejsze i najwspanialsze wrażenie sprawia cała amfilada sal, długości kilkudziesięciu metrów, zajętych przez dzieła z minionej przeszło-



Wielkanoć nad Jordanem: Pielgrzymi rosyjscy odprawiający modlitwy nad brzegami Jordanu.

ści. Na pierwszy plan wysuwa się przepiękny namiot obozowy, obstawiony wspaniałemi zbrojami husarskiemi, a zdobyty pod Wiedniem na Turkach, dalej sale z obrazami z wieku XVIII. i pamiątkami po zasłużonych mężach.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy trzy zdjęcia fotograficzne, przedstawiające wnętrze sali z pamiątkami po Kościuszce i Mickiewiczu, oraz dwa fragmenty z amfilady głównej.

Kanclerz Rzeszy w Rzymie.

Kanclerz niemiecki ks. Bülow, korzystając z feryi świątecznych w parlamencie, odbył obecnie wielką podróż polityczną do kraju, w którym dyplomacya niemiecka, pomimo wszelkich wysiłków, nie może dotychczas pochlubić się żadnemi zdobyczami. Włochy, posiadając dwa rządy, papieski i królewski, dają też większą sposobność do zwycięstw, niestety jednak oba te pola walki pozostały niezwyciężonemi w stosunku do Niemiec, rząd zaś papieski jest wprost niedostępny dla dyplomatycznych zakusów ks. Bülowa.



Przeciwniczka wesołej tradycyi: Księżniczka Dagmara duńska.

Chcąc jednak choć w części powetować porażki posła niemieckiego w Watykanie, kanclerz podczas pobytu swego w Rzymie udał się wraz z małżonką swą na specyalną audyencyę do papieża. Według zwyczaju, iż Papież nie może przyjmować gości rządu włoskiego, kanclerz Bülow z pałacu ambasady niemieckiej przy Kwirynale pojechał najprzód do ambasadora przy Watykanie i dopiero w jego pojeździe wyruszył na audyencyę. W pierwszej karecie jechał ks. Bülow w mundurze galowym wraz z swą małżonką, w drugim zaś powozie jechali dr. Bennwers i pos. Flottow również w galowych mundurach. Przyjęcie odbyło się według ceremoniału, stosowanego do zagranicznych ambasadorów. Papież przyjął naprzód ks. Bülowa, pozostając z nim sam na sam przeszło godzinę, poczem powitał bardzo uprzejmie żonę kanclerza, której ofiarował mozajkową broszkę, w tym zaś czasie ks. Bülow złożył wizytę sekretarzowi stanu kardynałowi Merry del Val.



Siostra mordercy: Irena Siczyńska.

(Do artykułu na stronie 13).

W południe księstwo opuścili Watykan, przed wieczorem zaś otrzymali rewizytę kardynała sekretarza. O wyniku tej audyencyi na razie nic pewnego nie wiadomo, jak również, czy została poruszoną sprawa polska.

Prawdopodobniejszem wydaje się, iż kanclerz Bülow unikał poruszenia tej kwestyi wobec papieża, zwłaszcza że po tak świeżym fakcie niesłychanego pogwałcenia praw nietylko ludzkich ale boskich, jakiem było uchwalenie kanclerskiego projektu wywłaszczenia, nie miał może odwagi narażać się na przykre uwagi, jakieby go niewątpliwie ze strony Stolicy Apostolskiej za barbarzyńską ustawę spotkały.

Czarna telefonistka.

Kultura i cywilizacya zatacza coraz szersze kręgi i w swym pochodzie zwycięskim dosięgła już nawet zapadłych stron Afryki. Tubylcy przyjmowali dary kultury początkowo z wielkiem niedowierzaniem, obawiając się, by ich z tego powodu nie spotkały jakie klęski i nieszczęścia. Z czasem oswoili się jednak z wszelkiego rodzaju nowościami i najbardziej pomysłowymi aparatami.

Do tych należy w pierwszej linii telefon. Prawdziwa zagadka dla czarnej duszy murzyńskiej. Tajemnica wielkiego wynalazku pozostała oczywiście dla nich zakrytą, korzyści jednak i praktyczność nie trudno im było poznać i ocenić, dziś też telefon nie należy do rzadkości w osadach afrykańskich.

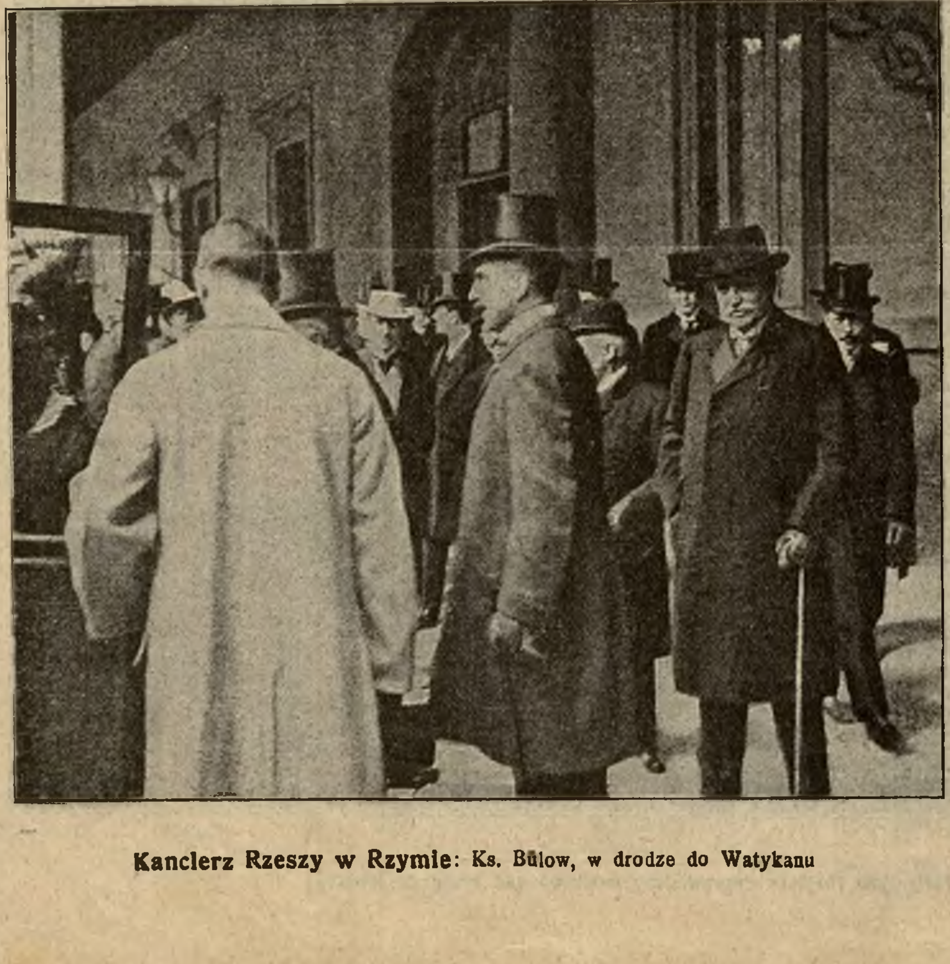


Czarna telefonistka: Murzynka w Afryce, rozmawiająca przez telefon.

Rycina nasza przedstawia pewną murzynkę, rozmawiającą zapomocą telefonu. Egzotyczność czarnej telefonistki podnosi tłumok, zwisający u jej pleców a zawierający młodego murzynka.

Przeciwniczka wesołej tradycyi.

Trzeci syn cesarza Wilhelma II. zaręczył się niedawno z księżniczką duńską Dagmarą. Rzecz zresztą ani nadzwyczajna, ani historycznie doniosła, stała się jednak bardziej głośna niż inne tego rodzaju uroczystości familijne z powodu sporu... o podwiązkę.



Kanclerz Rzeszy w Rzymie: Ks. Bülow, w drodze do Watykanu



Kanclerz Rzeszy w Rzymie: Księżna Bülow.

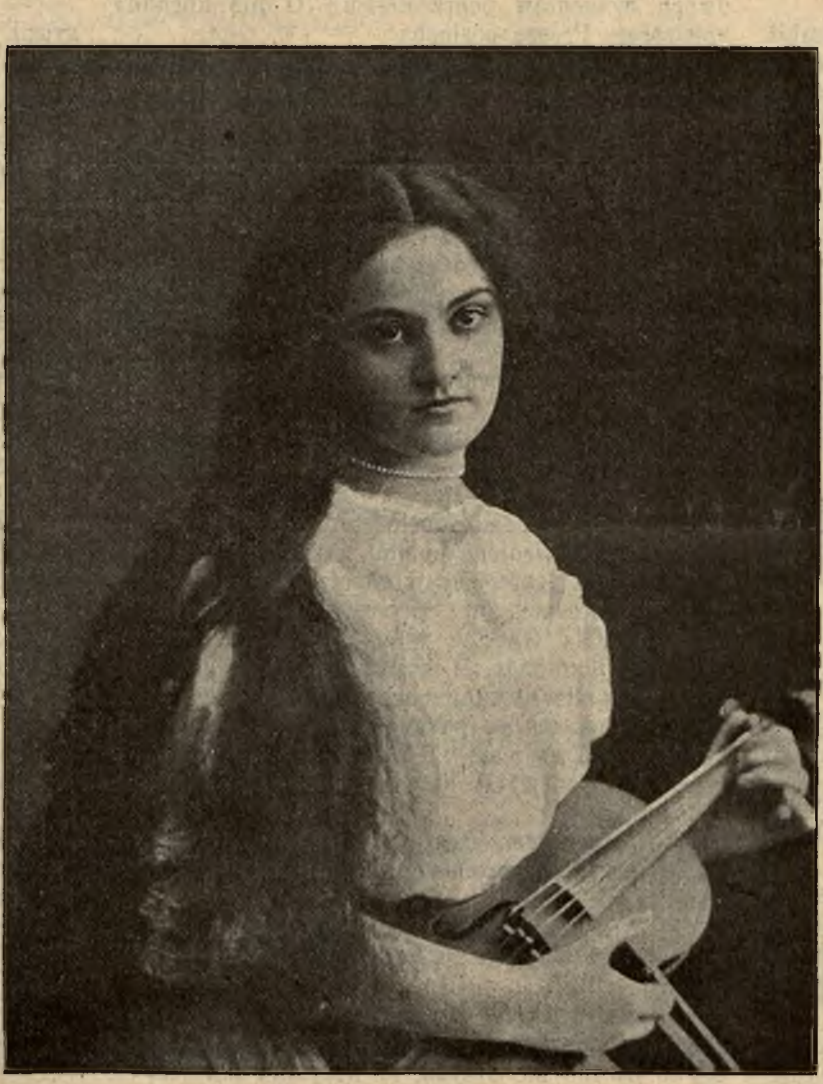
Księżniczka Dagmara mianowicie, wychowana w surowych zasadach dworu duńskiego, nie chce się zgodzić żadną miarą na znany szczegół ceremoniału weselnego, zachowywanego tradycyjnie na dworze pruskim. Oto po ślubie, kiedy uczestnicy uroczystości zasiędą do stołów, jeden z najwyższych dygnitarzy ma obowiązek wleść niespostrzeżenie pod stół i zdjąć z nóżki panny młodej podwiązkę. Zdobycz cenną ma następnie oddać marszałkowi dworu, który ją kraje na drobne cząstki i rozdaje między gości weselnych.

Tej właśnie tradycyi nie chce się poddać księżniczka Dagmara, twierdząc, iż zwyczaj wspomniany jest nieprzyzwoity i ubliżający godności kobiecej. Natomiast cesarz Wilhelm zachwyca się tym tradycyjnym obrządkiem i domaga się stanowczo, by księżniczka duńska, skoro chce dostąpić zaszczytu zaślubienia członka rodu Hohenzollernów, zwyczajowi temu się poddała.

Jak się spór ten zakończy—niewiadomo, prawdopodobnie przyjdzie do jakiegoś kompromisu.

Irena Szwarcówna.

Dzięki koncertowi urządzonemu na rzecz powiększenia funduszu sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju, publiczność krakowska miała możność zaznajomienia się z jedną z najmłodszych a nadzwyczajnie utalentowanych polskich artystek, z wiolinistką p. Ireną Szwarcówną.



Irena Szwarcówna.

Dzisiaj, gdy na firmamencie artystycznym jaśnieją tacy artyści, jak Bronisław Huberman, Kubelik, Burmester, Ysaye, zdawało się, iż niema już miejsca na nowe gwiazdy, że będą one ginęły w cieniu, niedostrzeżone przez nikogo.

A jednak Irena Szwarcówna zdołała sobie pomimo młodego wieku wywalczyć w ich gronie niepoślednie miejsce, jawiła się jako pierwszorzędna siła i niebezpieczna rywalka w międzynarodowym turnieju mistrzów skrzypiec.

Występ p. Szwarcównej w Krakowie, nietylko nie zawiódł pokładanych w niej na podstawie recenzyi pism zagranicznych nadziei, lecz przysporzył jej nowych listków do zdobytych już wawrzynów. Popis swój na estradzie starego teatru rozpoczęła artystka od najpiękniejszego klejnotu literatury skrzypcowej, koncertu Brucha. Pierwszemi już pociągnięciami smyczka uwidoczniła ona niepospolite zalety wielkiego swego talentu. Uderza w jej tonach nadzwyczajna słodycz i głębia, przemawiająca wprost do duszy i serca słuchaczów. Odrazu można poznać, iż talent p. Szwarcównej to iskra Boża, wsparta wysokiem, starannem wykształceniem, bajeczną niemal techniką. Wrażenie to potęgowało się w dalszym ciągu koncertu, więc coraz huczniej rozbrzmiewały oklaski, coraz bardziej wzrastał zapał publiczności.

Tryumf więc odniosła młoda artystka najzupełniejszy.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

7 Ciąg dalszy.

— Tak, to ja.

— Ja jestem komisarz Haller, a tu moja legitymacya.

— Co pana do mnie sprowadza? — zapytał Fryderyk Merk zupełnie spokojnie, co zdziwiło komisarza.

— List, który pan w tej chwili spalił, zapewne już sprawę wyjaśnił.

— A więc posądza mnie pan o zamordowanie Roberta Sandtnera? — mówił Fryderyk z odcieniem ironii.

— Tak panie i bardzo mnie cieszy, że pan nie używa żadnych wykrętów. Ale prócz tego otrułeś pan pokojówkę, Zofię Strobel.

— Wiem o tem posądzeniu.

— I przyznaje pan?

Fryderyk Merk uśmiechnął się i rzekł spokojnie:

— Czy pan może przypuszczać panie komisarzu, aby człowiek, co takie dwa morderstwa popełnił, spokojnie przebywał tu w zdrojowisku, a teraz z panem tak swobodnie rozmawiał? Nie panie, pan się bardzo pomyliłeś, bo ja mordercą nie jestem.

— A jednak są dowody.

— Nie dowody, tylko pozory, wynikające ze zbiegu okoliczności. Ale siadajmy panie komisarzu, tak nam będzie wygodniej rozmawiać.

Fryderyk z takim spokojem, z taką pewnością siebie to mówił, z taką uprzejmością wskazał miejsce komisarzowi, że Haller zachwiał się w przekonaniu, iż mordercę ma przed sobą. Usiedli i Fryderyk zaczął opowiadać:

— W kilka dni po powrocie do Wiednia z dalekiej podróży, przyszedłem do Sandtnerów. On był moim kolegą szkolnym, długoletnim przyjacielem. W niej kochałem się i byłem pewien wzajemności, to też ze zdumieniem dowiedziałem się, wróciwszy do Wiednia, że wyszła zamąż. Z Sandtnerem miałem załatwić sprawę finansową; był to czysto bankowy interes, ale przy tej sposobności pragnąłem zobaczyć Maryę i dlatego dałem pokojówce bilet do niej. Pozwoliła wejść, przyjęła mnie. W rozmowie dowiedziałem się, że Robert Sandtner okłamał nas oboje i to kłamstwo sprawiło, że wyszła zamąż za niego, nie przestawszy mnie kochać. Oburzony poszedłem przez salon do jego pokoju, aby mu wyrzut uczynić. Otwieram drzwi i widzę trupa na posadzce, trupa Sandtnera. Przerażony wracam do Maryi, mówię jej o tem i wychodzę spiesznie, przez nikogo nie spostrzeżony. Zamykając za sobą drzwi w pokoju zamordowanego, zawadziłem kamizelką o klamkę i urwałem guzik, co dopiero wtedy spostrzegłem, gdy już byłem na ulicy. Nie przeczuwałem, że Sandtnerowa posądzi mnie o zamordowanie męża, że ów guzik nasunie jej i panu takie przypuszczenie. Wyjechałem natychmiast tutaj i tu przebywam. Więc co do Sandtnera masz pan rzecz wyjaśnioną, a co się tyczy drugiego morderstwa, to już nic panu powiedzieć nie zdołam, bo od owego dnia nie ruszyłem się stąd i w Wiedniu nie byłem.

Haller był zupełnie zbity z tropu. Niepodobna, aby tak się zachowywał, tak opowiadał zbrodniarz.

— Któraż była godzina, gdy pan zobaczył Sandtnera?

— Dokładnie powiedzieć nie mogę, ale zdaje mi się, że było to na kilka minut przed jedynastą.

Haller zaczął rozmyślać. Przed jedynastą był Costa, o tejsamej porze Merk, a nie spotkali się. To możliwe. Jeden szedł przez bibliotekę, drugi przez salon; mogli się byli minąć, mogła też być różnica kilku minut, wystarczająca, aby przyszli, nie widząc się, nie spotykając ze sobą. Ale kiedyż był morderca? Jużcić przed jednym i przed drugim. A którędy wszedł? Na to już sobie Haller dawno odpowiedział, że przez okno. Skoro Merk był u Maryi i z salonu poszedł do Sandtnera, więc nie wchodził przez okno. Niemiałby nawet czasu na to, aby obejść kawał ulicy i przez sąsiednie ogrody wciskać się do ogródka domu Sandtnerów. Sandtner był kolegą i przyjacielem Merka, byłby go więc od razu poznał i nazwisko telefonował, zamiast słów niejasnych. Fryderyk Merk niewinny. Tak, niewinny, a przecież są pozory, trzeba z nim dokonać śledztwa.

— Opowiadanie pańskie zdaje się wyjaśniać sprawę i usuwać posądzenia, ale mimo tego muszę spełnić obowiązek i poprosić pana, abyś się udał ze mną do Wiednia.

— Ależ zupełnie słusznie. Nietylko nie opieram się temu, ale nawet uznaję to za zupełnie usprawiedliwione. Pan musisz spełnić swój obowiązek, a i ja poczuwam się do obowiązku wyjaśnienia sprawy. Już po otrzymaniu listu, który przed chwilą spaliłem, powziąłem postanowienie, aby natychmiast do Wiednia jechać i do policyi, lub do sądu się zgłosić.

— Czekam na pana w biurze hotelowem.

— I owszem; za pół godziny będę zupełnie gotów do wyjazdu.

Haller pożegnał się uprzejmie i poszedł do biura hotelowego, gdzie stanowczo poświadczono, iż Fryderyk Merk nie wyjeżdżał ze zdrojowiska, od chwili swego przybycia. A zatem nie mógł otruć Zofii Strobel. Zaczęło się w głowie mącić komisarzowi. Cóż u kaduka? O co zaczepi, wszystko z rąk mu się wysuwa. Przypomniał sobie Lindnera, jego teorye. Ba! Tu i Lindner nie dałby rady.

W kilka godzin wrócił z Fryderykiem Merkiem do Wiednia.

X.

— Szkoda sobie zaprzątać głowę tym Fryderykiem Merkiem — mówił sędzia Maran — choćby już z tego powodu, że jeden i ten sam człowiek zabił Sandtnera i otruł pokojówkę.

— I ja tak myślałem, dopóki miałem podejrzenie na Sandtnerową, ale teraz... — odpowiedział komisarz Haller.

— A czyż tylko Sandtnerowa mogła być współwinną?

— Czy pan dymyśla się kogo innego?

— Nabrałem tego przekonania, że pokojowej nie oddalono, ale ona sama oddalić się chciała.

— Dlaczego?

— Bo ona wpuściła tego, co Sandtnera zabił, z jej wiedzą i wolą. Lękając się wspólniczki, usunął ją zbrodniarz trucizną. Ale nie dość na tem; jest jeszcze inna osoba, która wie o wszystkiem.

— Któż taki?

— Przypomnij pan sobie.

— Nie domyślam się wcale.

— No, pan byłeś tak zajęty owym czarnym guzikiem, tak zatopiony w domysłach, że nie zwracałeś uwagi na Ellę Gerlach.

— Czyżby ta dziewczyna?...

— Proszę sobie przypomnieć jej zachowanie się w czasie sekcyi.

— Uległa wrażeniu na widok pokaleczonych zwłok krewnego.

— A, a, panie komisarzu, dziwne to wrażenie. Gdy weszła do sali sekcyjnej, była zupełnie spokojna, a dopiero wtedy zemdlała, gdyś pan powiedział doktorowi, że zbrodniarza pochwyciłeś. Doktór znakomicie ją pochwycił pytaniem do pana zwróconem.

— Nie przeczę, istotnie, to byłaby podstawa, ale bardzo wątła. Wrażenia działają niekiedy zwolna, nie doraźnie; zrazu opierała się wrażeniom, jakie trup wuja na nią wywierał, ale zwolna brały nad nią górę i wreszcie runęła, a przypadek zdarzył, że runęła wtedy, gdy padło z ust doktora owo pytanie.

— Choćby i tak, to czem wytłomaczyć jej pomięszanie, gdy się zapytano, czy Sandtner niemiał jakich nieprzyjaciół? Czemuż wtedy ociągała się z odpowiedzią, pomięszana, blada, przez chwilę nawet osłupiała z przerażenia?

— To mogło także mieć inną przyczynę. Ot, poprostu zmęczona była, wzruszona...

— Czy pan myśli, że na obserwacyi tych dwóch momentów poprzestałem? O nie kochany komisarzu. Proszę posłuchać.

Sędzia Moran opowiedział teraz o wszystkiem, co widzieli ajenci Stein i Norbert w owej nocy, gdy czatowali pod oknem pokoju Elli.

— Otóż widzi pan, kochany komisarzu — mówił dalej sędzia, że Fryderyka Merka mogła podejrzywać tylko Sandtnerowa.

— Tym sposobem i Costa niewinny.

— Zgadzam się teraz na to.

— Więc owego trzeciego szukać trzeba. A że też tacy zdolni, czwani, jak Stein i Norbert, dali mu uciec?

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Wszedł prędko ajent Stein.

— A to pan. Co tam nowego?

— I wiele i mało — odpowiedział zadyszany.

— Cóż to znaczy?

— Udało mi się dostać do mieszkania Elli Gerlach. Przyszedłem do niej, jako urzędnik z zarządu wodociągów, aby kontrolować aparaty i urządzenia wodociągowe. Skorzystałem ze sposobności, gdy Ella Gerlach wyszła z pokoju, i zajrzałem do tej szuflady, z której wyciągała pieniądze owej nocy dla nieznajomego i do której schowała jakiś list, co mu go pokazywała. List był na wierzchu, a oto go mam.

Sędzia pochwycił list niecierpliwie i czytał uradowany.

— A, zgadłem. Tak, potwierdza się to wszystko, co przed chwilą mówiłem. Już odkryliśmy zbrodniarza.

— Nie koniecznie — mruknął Stein.

— Ależ to jasne. Czytaj pan, kochany komisarzu.

Komisarz czytał uważnie: „Muszę się z nim rozmówić, muszę, niech się dzieje, co chce. Jeżeli się to na nic nie przyda, to wszystko śmiercią się skończy“.

— A co? „to wszystko śmiercią się skończy“ groził w liście i groźbę spełnił — rzekł sędzia Moran.

— Istotnie, dziwne. Trudno oprzeć się posądzeniu — dopowiedział komisarz.

Stein uśmiechnął się, ruszył ramionami, pokiwał głową i odezwał się z cicha:

— Śmiercią się skończy, ale czyją? Czyż ten, co list pisał, nie mógł mieć samobójczej śmierci na myśli? Proszę sobie tylko przypomnieć, jak on stanowczo zaprzeczał, wypierał się, gdy mu Ella ten list pokazywała. Nie słyszeliśmy co mówił, ale widzieliśmy jego stanowczo zaprzeczające ruchy. Ella widocznie także go posądzała i czyniła mu wyrzuty.

— Uwaga pańska bardzo słuszna, panie Stein — rzekł komisarz Haller.

Ale Moran namiętnie chwycił się tej myśli, że to zabójca Sandtnera list pisał, że nie o samobójstwie, ale o morderstwie myślał, gdy w liście groził.

— Że to morderca, ani wątpić. To widoczne, Dlaczego ten oberwaniec wziął od Elli pieniądze aby uciekać za morze? Gdyby był istotnie niewinny, nie potrzebowałby uciekać. A owe znaki przeczące, to przecież taka zwykła historya; któryż zbrodniarz przyznaje się dobrowolnie?

Stein wciąż kiwał głową i myślał, rozważał.

— Cóż pan na to, panie Stein? — zapytał sędzia Moran.

— Mnie się to inaczej wydaje. Ten zagadkowy gość Elli Gerlach, wyglądał na człowieka inteligentnego, który się wykoleił i popadł w nędzę. Zachowywał się tak, jakby krewnym był dziewczyny; między niemi widać było poufałość, jaką daje pokrewieństwo, a nie inny jaki stosunek; to było bardzo widoczne.

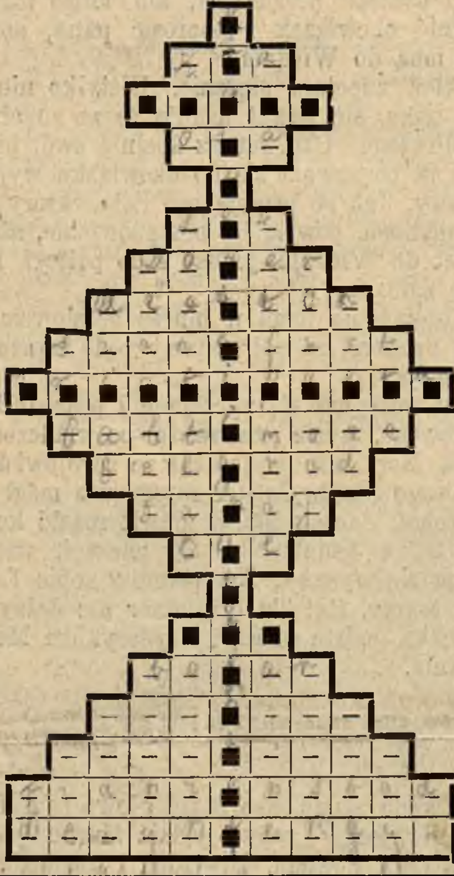
(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Franciszek Szołajko w Birczy.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by litery środkowe, czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły imię i nazwisko powieściopisarza polskiego, zaś w 3, 10 i 16 wierszu, czytane w poziomym kierunku dały nazwę jego trzech powieści.

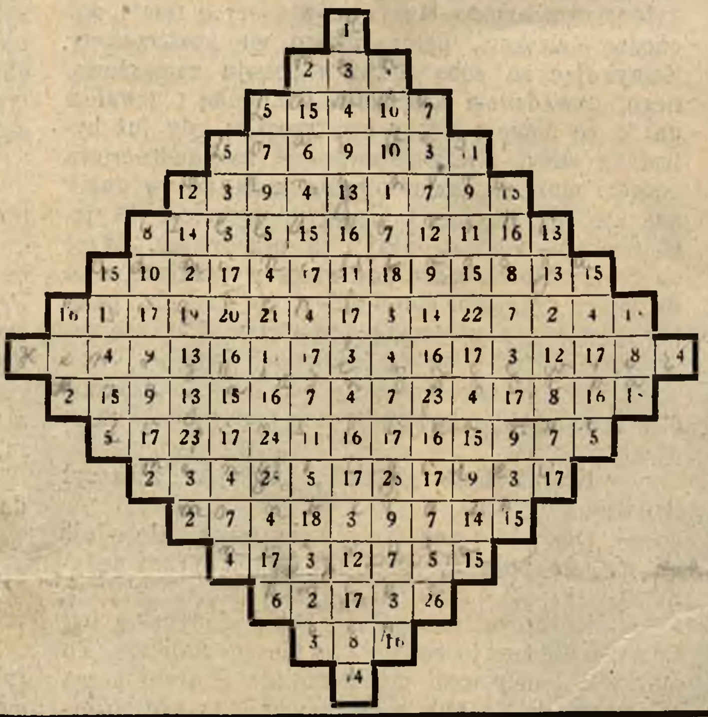


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwał lodu. 3. ? 4. Owad. 5. Spółgłoska. 6. Zwierzę król pustyni. 7. Miasto nadmorskie w Anglii. 8 Mechaniczny instrument muzyczny. 9. Miasto nad Menem 10. ? 11. Miasto w Ameryce. 12. Stolica w Serbii. 13. Główna rzeka w Austryi. 14 Miara długości. 15. Spółgłoska. 16. ? 17. Nazwa możnowładców na Rusi. 18. Roboty ziemne w twierdzach inaczej przekopy. 19. Niemieckie miasto nad Renem. 20. Miejsce kąpielowe. 21. Sposób odrażania zarazków chorobotwórczych.

Arytmogryf.

Ułożyła E. Sokalska z Rozwadowa.

W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły imię i nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Niemczech. 3. Rodzaj pojazdu 4. Miejscowość we Francyi słynna z cudów 5 Powieść Czajkowskiego. 6. Sławny poeta i uczony czeski z pierwszej połowy ubiegłego stulecia. 7. Inaczej zarząd 8. Utwór Calderona tłomaczony przez Słowackieg 9? 10. Imię i nazwisko, współczesnej poetki polskiej. 11 Nazwisko i imię znakomitego skrzypka i kompozytora polskiego z pierwszej połowy XIV wieku. 12 Chan Tatarów krymskich 13. Jeden z najwyższych szczytów w Alpach. 14 Stan w którym człowiek pozbawiony jest wolności. 15. Inaczej wieśniak. 16. Przeciwnik Lutra. 17. Spółgłoska.

Za trafne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy powieść Sclavusa p. t. »Anarchiści«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 15.

Szarada.

Palmowa niedziela.

Zagadka.

Cicha woda brzegi rwie.

Kto smaruje ten jedzie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Krukowicz Kołomyja, W. Dąbrowiecki Walawa, W. i J. Limanowskie Kraków, A Nagel Rudno, Biegoń Sucha H. Chochorowski Pysznica, R Korytowski Kraków, J. Tondyra Bieńkówka, J. Bazylewicz Jaktorów, E Zażulińska Olszanica, W. Kisielewska Kołomyja, R. Jaworski Kraków, F. Ratyński Janów, W. Stanula Samocice, H. Zielińska Manajów, F. Kalite Gawłuszowice, A. Frickówna Żdziary, S Spunda Skała. J. Konstantynowicz Bukowsko. A. Pisowicz Dulczówka, M. Stachowicz Kraków, Z. R. Warszawa, W. Tuchalski Horodenka, B. Ramułtowa Jeżów, W. Łopciński Lwów, T. Smolik Nowy Sącz. K. Fuchs Czeremchów. W. Pużyński Ostrawy Baranowskie, „Sokół“ Horodenka, dr. J. Marynowski Bircza, S. Schafek Kuty, J. Baczyński Ropieńka, T. Hubl Tarnawa, S. Błażyński Trembowla, L. Sarnowski Brzostek, J. Habela Nowy Sącz, S Eckhardt Stanisławów, J. Gawenda Słotwina, U. Pettesch Złoczów, Ks, J. Sieugalewicz Bełełuja, M. Radlmesserówna Swoszowice, W. Bartoszyńska Gorlice, F. Wojnarowski Korczyna, A. Sołtys Herbutów, L. Zochowski

Zaleszczyki, J. Pattek Stanisławów, A. Knapińska Kraków, F. Angiel zykowski Lubaczów, J. Tobola Biała, M. Treppel Nowa Wieś. Cellerin Bukowsko, L. Löwner Janów, J. Garbioń Stryj, Ks. E. Siczyński Stanisławów, W. Ł bos Dolina, W. Andrzejewski Łobrów, J. Lisow-ki Ostawy bi łe, A Wołczyński Z kopane, M. Krynicka Aleksandrów, W. Bahar Stanisławów, R. Gruszka Rozwadów, M. Myszkowska Hruszowice, B. Lesz zyńska Borysław, W. Studnicki Kraków, R. Kon pkowa Sarzyna, W. Svgnarski Posada Olchowska, Z. Boulangó Gawłówek, A. Mikuliński Lwów, J. Rosenstock Kraków, M. Grodzicka Dębniki, J. Michalewsa Jasło, W. Spirydowicz Stara Sól, E. Nowak Stary Sącz, J. Januszewski Podgórze, W. Masiuk Dębniki, „Mi iakowa Klub“ Kołomyja, Czytelnia Jordanów, F. Świątnicka Kraków, O. Elterleinowa Górka, J. Pstruszyńska Kraków, F. Zacharski, A. Nikosiewiczowa Krzywe, J. Bojuk Bełz, J. Wilczek Krzyżtoporczyce. J. Młodzianowska Przeworsk, M. Kolmanówna Kraków, Z. Gaudn k Stary Sącz, M. Witkowska Łańcut, S. Kopffowa Tarnów, A. Przyłęcka Jasło, E. Wieczorkowa Kraków, O. Górkowa Chyrów, J. Mitkowski Kraków, K. K. Scherautz Wał-Ruda, A. Kropp Berezów niżny, Z. Geppertowa M chowa, F. Miller Zegórowa, H Kowalski Mogiła, A. Rotter Stanisławów, J, Kleis Łódź, H. Milkówna Sośnica, M. Bobowska Jasionów, E. Kuske Żbików, S. Iwanicki Lwów, M. Małaczyński Pikułowice, W. Baranowska Horodyszcze, K. Krysakowski Gorlice, S. Stośko Rzeszów, K. Strumff Warszawa, K. Scholz Golcowa, A. Kudła Tapin, W. Maksymowicz Dobromil, J. Klatka Nowe miasto, M. M. Ludwig Czarny Dunajec, H. Pawłowska Bóbrka, M. Pachucki Waksmund, L. Maruszczak Chodorów, E. Bogdalska Koropuż, W. Samborski Kraków, Kosińska, K. Jurkiewicz Gwoździec, J Kostoski Mielec, L. Schil erowa Kraków. J. Wielgus Wadowice, Stowarzyszenie ku wspieraniu położnic Tarnów, M. Arbesbauer Lwów, S. Legutkówna Nowy Sącz, H. Chodkiewicz Warszawa, H. Welfe Kolbuszowa, S. Zięba Szczakowa, W. Świdoicki Skole, S. Mizerski Truskawiec, F. Niepokój Krosno, A. Bocsoń Bóbrka, M. Trznadel Złoczów, Jamrozy Podhajce, A. Mussil Lwów, A. Leska Lwów, K. Stadnicka Kołomyja, A Zimmerowa Mikulińce, M szowa Zagórz, S Świdrówna Borsz zów, M. Schmarowa Grzymałów, J. Badura Rożdzień, J. Zyzak Żywiec, S. Kozłowski Lubaczów, E Podobińscy Rawa ruska. J. Łukasiewiczowie Mosty Wielkie, A. Polończykowa Żywiec, K Schnitzel Tarnów, Ks. J. Sroczyński Siedlce, Kw piński Równe, H. Markiewicz Krościenko, W. Sokołowski Warszawa, I. Talaga Stale, M. Opolska Czarny Dunajec, K. Gruszecki Warszawa, T. Mendys Tarnobrzeg, K. Michalczewska Złoczów, J. Brzeziński Warszawa, Ks. J. Dagnan Piwniczna, J. Talowska Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymało „Stowarzyszenie ku wspieraniu położnic“ w Tarnowie. Prosimy o nadosłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne.

Dla dobra ludzkości wynalazł aptekarz **A. Thierry** swój **balsam i maść centyfoliową**, o których światowej sławie świadczą niezliczone podziękowania. — Dwa te, światowo sławne, w swej leczniczej skuteczności nieprześcignione środki, nie podlegające nigdy zepsuciu, są prawie zawsze pomocne i skuteczne. Dwa te światowo znane środki domowe powinno się mieć zawsze w domu na składzie, a odrzucać wszelkie naśladownictwa, jako bezwartościowe i karze podlegające. **Balsam Thierry'ego** 12 małych, lub 6 podwójnych flaszeczek K. 5·—, a **Thierry'ego maść centyfoliowa** 2 słoiki K 3·60 są do sprowadzenia z **apteki pod Aniołem stróżem A. Thierry'ego w Pregrada koło Rohitsch.**

Odpowiedzi Redakcyi.

»Sokół« w Horodence: W odpowiedzi na list WPanów podajemy poniżej ceny dziełek p. Zygmunta Światopełk Słupskiego, a mianowicie: »Mapa W. Ks. Poznańskiego z posiadłościami komisyi kolonizacyjnej« kosztuje 3 marki, »Mapa Prus Zachodnich« jest dopiero w przygotowaniu, jak i »Atlas ziem polskich«, którego okazową mapkę można otrzymać za nadesłaniem 10 fen. znaczka pod adresem Z Słupski, Lazarusstrasse 11, Posen. Mapę W. Ks. Poznańskiego jak również i inne wydawnictwa p. Słupskiego można nabyć w księgarniach w Krakowie.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności)

H. SOMER, Lwów, ul. Sobieskiego 2

Pierwszy krajowy, mechaniczny Zakład artystycznych Haftów

Wykonuje **hafty** dla kostyumów i konfekcyi damskiej. **Wielki wybór w Sukniach** odpasowanych, wieczorkowych, spacerowych i haftowanych na tiulu, batyście, voalu, koronkach, płótnie i jedwabiach. Zamówienie z prowincyi odwrotnie.

Kraków Sławkowska L. 3 Telefon 516



Kraków Hotel Saski Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny



Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego

i przyborów do podróży.

Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Kupujących

Rowery • Przybory kolarskie • Gramofony • Płyty



zapraszam przy zapotrzebowaniu przed zakupnem zwiedzić wpierw mój

fabryczny skład

największy w całej Galicyi

a z pewnością



zaoszczędzi każden dużo pieniędzy!

Dostarczam moje pod gwarancyą pierwszorzędne, austryackie **ROWERY** zupełnie nowe, już poniżej 100 K. Pisemna gwarancya!

Odsprzedającym daję :: wysoką prowizyę :: — Naprawiam najtaniej Rowery i Gramofony — Ulgi w spłatach :: wedle umowy ::

W. SCHLAWE, we Lwowie, ul. Batorego L. 12—14.

Najlepszej jakości Zegarki!



Z powodu zakupna wielkich zapasów, sprzedajemy jak długo zapas starczy, po tak bajecznie niskich cenach: Nikl. Rem. wraz z pięknym łańcuszkiem K 3 10; Nikl. pozł. Rem. wraz z pozł łańcuszkiem K 4·50; z 3-ma kopertami pozłacanemi K 6·90; z 3-ma kopertami posrebrzanemi K 6·30; Niklowy Roskopf z marką „Präcision“ dla kolejarzy K 10—; Czarny stal. nadzwyczaj płaski, z metalow. cyferblatem K 6·75; Srebrny Rem. z 3-ma kopert. K 9·50; Srebrny męski łańcuszek K 1·95; Damski stalowy zegarek K 6·30; Damski srebrny zegarek K 8·30; Damski srebrny łańcuszek na szyję K 4—.

Kapellner i Holzer
Kraków, ulica Dietlowska 68 5

Wysyłka za zaliczką. 8-dniowy czas próby dozwolony. Wymiana lub zwrot pieniędzy. Illustr. cenniki z przeszło 2000 odbitek na żądanie darmo i opłatnie.

WIETRZNA HARMONIJKA

Nowość! Wspaniała muzyka



Instrument ten umieszcza się na altanach, żerdziach, drzewach, domach mieszkalnych, a przy najlżejszym nawet wietrze wydaje tenże nadzwyczaj miłe i przyjemne tony.

Wietrzna harmonijka jest 28 cm. długa i kosztuje za sztukę tylko **Kor. 3.**

Wysyłka za zaliczką przez c. i k. nadwornego dostawcę

HANNS KONRAD
Dom wysyłkowy 14-28
w Brüx Nr. 378 (Czechy).

Proszę żądać bogato ilustrowanego głównego cennika z przeszło 3000 illustracyj darmo i opłatnie.

Farbiarnia i Pralnia chemiczna

ANTONIEGO SZAPKOWSKIEGO
w Krakowie, ul. Karmelicka L. 20

Przyjmuje do farbowania, prania, odczyszczania i wywabiania z plam wszelkie wyroby

Na prowincyę za pobraniem pocztowem.

DALMIOS

z watą „SALVESOL“

Tutki cygaretowe egipskie — ozdobne, dla wybrednych smakoszy.

Palą się równo i lekko, nie czernieją, smak mają łagodny, nie spalają się szybko, wskutek tego dym jest chłodny, co jest wielką zaletą tutek cygaretowych.

Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć **zatrucia nikotyną,** winien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą ∴ „SALVESOL“. Pochłania ona nikotynę, a więc usuwa jej szkodliwe działanie.

Oryginalny pakiecik **waty „SALVESOL“** wystarcza na 200 do 400 papierosów lub cygar.

10 cygarniczek szklanych K. 1·20

Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 hal.

1000 tutek cygaretowych „Dalmios“ K. 3·20

Wyroby te poleca:

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych „NORIS“ (1)

Mr. W. BEŁDOWSKI, KRAKÓW

Jedynie prawdziwym jest tylko

Thierry'ego Balsam

z zieloną marką ochronną ZAKONNICY. Najmniejsza wysyłka 12/2 lub 6/1 albo 1 patent flaszka familijna do podróży **K 5**. Opakowanie darmo. — **Thierry'ego maść centyfoliowa** Najmniejsza wysyłka 2 słoiki **K 3·60,** opakowanie darmo. — Uznane wszędzie jako **najlepsze środki domowe** przeciwko dolegliwościom żołądkowym, zgadze, kurczom, zaflegmieniu, zapaleniu, **Kontuzyi** i t. p. — Zamówienia lub przesyłki pieniężne należy adresować:

A. THIERRY, Apteka pod Aniołem stróżem, Pregrada obok Rohitsch. — Skład we wszystkich aptekach.

Tanie czeskie pierze!



5 kilo świeżo skubane 12 K, białych, miękkich jak puch, skubanych 18 K, 24 K, śnieżno białych, miękkich jak puch, skubanych 30 K, 36 K. Wysyłka franko za zaliczką. Wymiana i przyjęcie napowrót za zwrotem opłaty pocztowej.

Benedykt Sachsel, Lobes 265
Poczta **Pilzno,** Czechy.





Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato illustrow. polski **CENNIK** zegarków, towarów złotych, srebrnych (przeszło 3000 illustracyi).

Pierwsza fabryka zegarków

Hanns Konrad
Ces. i król. nadworny dostawca
w Brüx, Nr. 1148 (Czechy).

Prawdziwe szwajcarskie niklowe anker-remontoir, zegarki systemu Roskopf-Patent K 5 —, 3 sztuki K 14 —. Wolna zamiana lub zwrot pieniędzy. 5—2



Słabość męską

skutki szczególn. tajnych grzechów młodości oraz innych nadużyć niszczących zdrowie, jak pewnie i trwale je usunąć należy, poucza jedynie w licznych wydaniach rozpowszechniona książka ilustrowana Dra REUTAU'A

Ochrona własna!

Cena wydania polsk. 2 K.

Tysiące znalazło w niej objaśnienie swych cierpień, a za użyciem kuracyi w tej książce zaleconej odzyskało zupełną swą siłę męską. Za nadesłaniem należytości, otrzyma się książkę w kopercie franco przez **Verlags - Magazin R. F. Bierey w Lipsku,** Neumarkt Nr. 21 (Niemcy).

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBÓR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKÓW, ul. Wolska 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki i t. p. na składzie

EMIL FEDER

znany specyalista, poleca swój

Pierwszy Europejski

Salon fryzyerski

we Lwowie, ul. Jagiellońska 11

urządzony z niebywałym komfortem, zaopatrzony w **najnowsze aparaty desinfekc.,** oraz

bogaty skład perfum i przyborów toaletowych

z pierwszorzędnych fabryk krajowych i zagranicznych.

28—51 **Do zawierania** 1—21 (1907)

ubezpieczeń życiowych, posagowych, na renty ludowych i dla dzieci pod nader korzystnemi warunkami i niskiemi premiami nadaje się najbardziej

„ALLIANZ”

Akc. Towarzystwo ubezpieczeń na życie i renty

Fundusze gwarancyjne po dzień 31 grudnia 1906 r. Kor. 11.018,456.42.
Stan ubezpieczeń po dzień 31 grudnia 1906 r. 283.342 osób z kapitałem

89,000.000 Kor.

Ogółem wypłacona kwota od założenia Towarzystwa około Kor. 8.000.000.

Prospekta, taryfy rozsyła, tudzież bliższych informacyi udziela:

„ALLIANZ“ Akcyjne Towarzystwo ubezpieczeń na życie i renty.

Filia: **Kraków, ul. Floryańska L. 10**

Szczególniejszej uwadze polecamy kombinacyę ubezpieczeń połączona z prawem poboru renty, tudzież ubezpieczenia z roczny m do 3% (od 87%) wzrastającym zagwarantowanym opustem odsetkowym.

Osobny dział ubezpieczeń ludowych z wkładkami tygodn. od 10 h. począwszy.

Zdolni i ruchliwi zastępcy poszukiwani.

GRANICA

Stacya kolei W.-W. Ruble, austryackie korony, franki, marki itp. sprzedaje i kupuje najkorzystniej dla pasażerów **Specyalny Kantor wymiany wszelkich monet WŁADYSŁAWA HERTZA** na stacyi »GRANICA«. Pociągi tak przychodzące jak i odchodzące zatrzymują się przeszło godzinę. Kantor znajduje się w westybulu dworca naprzeciw kas biletowych stacyi »GRANICA«.